

Między nauką a literaturą

Rozmowa z profesorem Stanisławem Sławomirem Nicieją



Prof. Stanisław Nicieja w słynnym przedwojennym uzdrowisku

Truskawiec podczas kręcenia filmu o tym mieście

Aleksandra Ziółkowska-Boehm (*Wilmington, Delaware*):

Jest Pan postacią - nie waham się nazwać - niezwykłą.

Kustosz pamięci, historyk, badacz, biografista, publicysta,

wizjoner, autor filmów dokumentalnych, działacz

społeczny. Ma Pan okazały dorobek naukowy, kulturalny,

publicystyczny. Jest Pan autorem wielu znanych prac

naukowych a także reportaży historycznych. Otrzymał Pan

liczne nagrody, odznaczenia i medale.

Stanisław Nicieja (*Opole*):

Jest mi bardzo miło wysłuchać tak wysokiej oceny moich działań

zarówno organizacyjnych, jak i naukowych. Naturalnym

oczekiwaniem człowieka jest, aby jego praca i działanie

społeczne było zauważalne. Jednak pech czasem sprawia, że

wiele osób mogących szczycić się swymi ważnymi, a nierzadko

wybitnymi osiągnięciami, pozostaje w cieniu, a ich osiągnięcia

anonimowe bywają przypisywane innym. Myślę, że jestem

dzieckiem szczęścia, ponieważ moje działania i funkcjonowanie

społeczne w różnych środowiskach było i jest zauważane i

wyróżniane. I to jest doping do pracy i działalności społecznej,

gdyż bez uznania środowiska nie ma satysfakcji. Brak akceptacji

paraliżuje wszelką inicjatywę. Uważam, że los mi wyjątkowo

sprzyja. Akceptowanie tego, co czynię, wpływa na stymulację

mych działań.

Opole jest Panu bliskie od lat studenckich, skończył Pan tu studia historyczne, uzyskał doktorat, habilitację, profesurę.

Urodziłem się na Dolnym Śląsku i bliżej było mi pójść na studia do Wrocławia – dużej aglomeracji miejskiej i wielkiego centrum naukowego, z bardzo prestiżowym uniwersytetem, na którym po wojnie wykładała kadra przedwojennego Uniwersytetu

Lwowskiego, i to o tak dużych nazwiskach, jak choćby Hugo Steinhaus, Ludwik Hirschfeld, polonista Mieczysław Klimowicz czy historycy, Ewa i Karol Maleczyńscy. Ja wybrałem mniejszy ośrodek, Opole, głównie z tego względu, że tam odbywał się Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej. A był to czas wielkiej eksplozji polskiego *rock end rolla*, kolorowych hipisowskich zespołów, które grały w stylu bitlesowskim. Było ich wiele.

Bliska mi była wówczas filozofia hipisów. Nosilem długie włosy, buty bitlesówki i koszulę w kwiaty. Opole miało swoisty klimat. Wybrałem je, aby na co dzień być w pobliżu słynnego amfiteatru, wypełnionego w letnie dni artystami.

Na Uniwersytecie Opolskim przez cztery kadencje pełnił Pan funkcję rektora. Był Pan także dyrektorem Instytutu Historii, był Pan też senatorem Rzeczypospolitej V kadencji. W Opolu nowa siedziba Uniwersytetu w dużej

mierze jest Pana zasługą, przyczynił się Pan także do przekształcenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Uniwersytet.

Opole jest miłym miastem, takim polskim Heidelbergiem – nie za dużym, nie za małym. Leży na dobrym szlaku. Blisko stąd do dużych aglomeracji – Wrocławia czy Katowic: godzina drogi samochodem. Miasto jest kameralne, ma wdziek. Ładną architekturę, piękny Rynek z kamieniczkami i ratuszem w stylu florenckim. Uczelnia, którą wybrałem, od początku miała klimat serdeczności i przyjaźni. Były na niej partnerskie relacje między kadrami profesorską a studentami. Kampus uniwersytecki zamknięty w trójkącie trzech ulic ciągle się rozbudowywał. I po studiach włączyłem się w ten proces. A mając szczęście do ludzi i ważnych przyjaźni stałem się z czasem jednym z liderów tego środowiska, więc powierzano mi funkcje kierownicze – w Instytucie Historii, a później całej Uczelni. Żeby rozbudować mój uniwersytet musiałem wchodzić w relacje polityczne, czasem ryzykowne, ale dające możliwości skutecznego zdobywania finansów na rozbudowę kampusu uniwersyteckiego: na wielomilionowe inwestycje oraz ściąganie wartościowej kadry naukowej. Obiekty, które powstały w czasie moich czterech kadencji rektorskich, kosztowały około 190 milionów złotych. Były to m.in.: Collegium Maius, Collegium Minus, Collegium Civitas i inne.



Prof. Stanisław Nicieja w gronostajach rektorskich. Funkcję rektora Uniwersytetu Opolskiego pełnił przez cztery kadencje w latach 1996-2016. Jest uważany za jednego z głównych twórców opolskiej Alma Mater.

Przyjemnie jest być od lat związanym z jedną uczelnią?

Uważam, że tak. Chociaż w Ameryce może to brzmieć dziwnie, że nie zmienia się co pewien czas uczelni. Jestem monogamistą. Od pół wieku związany jestem z jedną kobietą i z jednym miejscem pracy, z mocno rozgałęzionymi przyjaźniami w tym miejscu. Co

nie znaczy, że z tego kokonu uniwersyteckiego nie wyrrywam się co pewien czas w świat. Mogę nawet powiedzieć, że jestem globtroterem, bo przejechałem całą Europę wzdłuż i wszerz – od Lizbony po Sankt Petersburg, od Belgradu po Sztokholm. Byłem na wielu uniwersytetach w Europie, Azji i Australii, m.in. w Berlinie, Hanowerze, Singapurze, Tajpej i Perth. No i wielokrotnie przemierzyłem całe Kresy – od Kiejdan i Wilna po Stanisławów i Kołomyję. Miałem dotychczas przynajmniej 1000 spotkań autorskich, głównie w Polsce, ale i w Europie, w tym w lwowskim Ossolineum, londyńskim POSK-u czy Bibliotece Polskiej w Paryżu.

**Opole - dzięki Pana staraniom - zostało wzbogacone
niezwykłymi rzeźbami. Wzgórze Uniwersteckie w Opolu
ozdobiły rzeźby Henryka Hartmanna „Cztery pory roku”.
Ustawiono tam m.in. kolumnę Maryjną, figurę św.
Krzysztofa z Dzieciątkiem, Chrystusa, św. Wojciecha.
Także wmurowano tablicę poświęconą Janowi Pawłowi II.**

Każde miasto uniwersyteckie powinno mieć jakąś specyfikę, jakiś wyróżnik, coś, co jest swoistym emblematem kojarzącym się z tym miastem. I kiedy w 1994 roku tworzyliśmy w Opolu Uniwersytet, i kiedy zostałem liderem tego środowiska zdecydowałem jako rektor, że główny budynek uniwersytecki, Collegium Maius (który wówczas był opuszczoną ruiną po dawnym klasztorze dominikańskim), powinien wrócić do dawnej

świątyni. Uważałem, że nie tylko jego wnętrza: sale z pięknymi
plafonami, refektarz, gabinety dziekańskie i korytarze mają
odzyskać duch baroku oraz klasycyzmu, ale też jego otoczenie –
wzgórze, na którym ten dawny klasztor został wzniesiony
powinno wyróżniać się piękną rzeźbą barokową, neogotycką i
współczesną. Ponieważ w podopolskich wsiach, gdzie były
poniemieckie pałace i parki krajobrazowe znajdowało się wiele
poniszczonych rzeźb, udało mi się za zgodą konserwatorów
zabytków przewieźć je do Opola, odrestaurować i umieścić przy
ścieżkach na Wzgórzu Uniwersyteckim, co spowodowało, że
miejsce to stało się niezwykle atrakcyjne. Stało się swoistym
muzeum rzeźby na wolnym powietrzu.



Rektor prof. Stanisław Nicieja wręcza Danielowi Olbrychskiemu
- wybitnemu polskiemu aktorowi, dyplom doktora honoris causa
Uniwersytetu Opolskiego

**Opole znane jest z corocznego (od 1963 roku) Krajowego
Festiwalu Piosenki Polskiej. Dzięki Panu - na Wzgórzu
Uniwersteckim powstały pomniki - Agnieszki Osieckiej,
Czesława Niemena, Marka Grechuty, Jerzego
Grotowskiego, Jeremiego Przybory, Jerzego Wasowskiego,
Jonasza Kofty, Wojciecha Młynarskiego.**

Dotyka tu Pani fenomenu polskiej kultury lat 60. i 70. XX wieku.
Wtedy to stworzono Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej (takie
polskie San Remo czy Woodstock), który był dla mnie - jak już
wspomniałem wyżej - magnesem do podjęcia studiów
humanistycznych właśnie w Opolu. Był to czas, kiedy w opinii
poety Jeremiego Przybory: „Polska stała się europejskim
imperium piosenki artystycznej na najwyższym poziomie”.
Tworzyli wtedy i przyjaźnili się ze sobą Agnieszka Osiecka,
Wojciech Młynarski i Janasz Kofta, a rywalizowali z nimi o palmę
pierwszeństwa nie mniej znakomici poeci, by wspomnieć tylko
Leszka Aleksandra Moczulskiego, Janusza Kondratowicza, Jacka
Cygana czy Magdę Czapińską. Muzykę do wierszy tej plejady
poetów tworzyli m.in. Seweryn Krajewski, Andrzej Korzyński,
Włodzimierz Nahorny i Włodzimierz Korcz. Ich utwory
wykonywali tacy mistrzowie estrady i wokalistyki, jak choćby
Czesław Niemen, Maryla Rodowicz, Ewa Demarczyk, Stan Borys,

Michał Bajor, a także Lucja Prus.

Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu, na którym triumfy odnosili wyżej wymienieni artyści, był jednym z centralnych wydarzeń w polskiej tzw. kulturze wysokiej. Na każdym festiwalu w latach 60. i 70. wyróżniano kilka piosenek, które natychmiast stawały się przebojami i do dziś są powszechnie znane. Ponadto polscy artyści i piosenkarze zaczęli pisać muzykę do wierszy najwybitniejszych polskich poetów: Niemen do poezji Norwida i Iwaszkiewicza, Grechuta do poezji Mickiewicza i Wyspiańskiego, Ewa Demarczyk śpiewała wiersze Tuwima, Baczyńskiego i Białoszewskiego. To była rzecz niebywała. Nakłady płyt były milionowe. Zostawiło to wielki ślad w polskiej kulturze. Na tej twórczości wychowały się całe pokolenia młodych Polaków. W latach 90. XX wieku poziom festiwalu opolskiego obniżył loty, skomercjalizował się i dziś nie odgrywa już istotnej roli w polskiej kulturze. Chcąc dać wyraz artystyczny i podkreślić znaczenie ludzi i tamtych wydarzeń postanowiłem na Wzgórzu Uniwersyteckim, w okalającym go parku, wśród zieleni, przy alejkach wznieść pomniki portretowe artystów, których Pani wymieniła, bo byli najwięksi z twórców tej złotej epoki w dziejach polskiej piosenki artystycznej.

Na pewno nie tylko mieszkańcy Opola cieszą się tymi rzeźbami.

Pomysł postawienia rzeźb na Wzgórzu Uniwersyteckim okazał się trafny, bo dzisiaj jest to miejsce kultowe. Nie ma dnia, aby nie było tam wycieczkowiczów z całej Polski, którzy zatrzymują się przy pomnikach dawnych swych idoli, takich jak Niemen czy Grechuta, siadają przy nich na ławeczkach, robią fotografie.

Urodził się Pan w Strzegomiu, rodzice pochodzili z Małopolski, okolic Wadowic i Kalwarii Zebrzydowskiej.

Strzegom – nazywany jest polskim Chartres – to piękne dolnośląskie miasteczko, stolica kamieniarzy – kiedyś niemieckich, dziś polskich. Jest tam kilkanaście dużych kamieniołomów granitu i bazaltu. Stąd bogactwo tego miasta w postaci wspaniałych świątyń: gotyckiej, jednej z największych w tej części Europy bazylik i barokowego kościoła ewangelickiego. Miasto było poważnie zniszczone w czasie wojny, ale jego zabytki częściowo odbudowano. Moi rodzice osiedli tam w 1945 roku, gdy ze Strzegomia usunięto Niemców. Przyszli z ziemi wadowickiej, gdzie jest kolebka rodu Niciejów. Mój stryj, Franciszek Nicieja, urodził się dwa dni wcześniej niż ojciec święty Jan Paweł II. W księdze parafialnej w Wadowicach zapisani są na tej samej stronie informującej o dniu ich urodzenia i rodzicach chrzestnych.

Głównym Pana tematem badawczym są Kresy Wschodnie. Pasja i miłość do Kresów zaczęła się w 1978 roku, kiedy

znalazł się Pan we Lwowie i nim się zachwycił. Proszę przybliżyć ten początkowy okres zainteresowania Kresami.

Moje książki związane z historią Kresów, to moja wielka przygoda intelektualna, która niespodziewanie pojawiła się w moim życiu i dała mi ogromną satysfakcję. A trwa to już 40 lat. Do Lwowa trafiłem dość przypadkowo tuż po studiach, z kolegą z uczelni, który wziął mnie na urlop do Lwowa, bo tam miał swoją rodzinę. Nie miałem o tym mieście większego pojęcia, wszak temat lwowski był w PRL-u w dużej mierze tematem tabu. Podczas tego pierwszego, krótkiego pobytu we Lwowie w lipcu 1978 roku uległem fascynacji tym miastem nazywanym „małym Wiedniem”: jego położeniem i architekturą.



Prof. Stanisław Nicieja przy nagrobku Orłęcia – Konrada Domiszewskiego na słynnym Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie

Był Pan - jako senator - ekspertem przy odbudowie Cmentarza Orłąt Lwowskich. Pana książki: „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986” (Wrocław 1988) i „Cmentarz Obrońców Lwowa” (Ossolineum 1990) przyniosły nagrody i uznanie czytelników.

Ta fascynacja Lwowem zaczęła się od Cmentarza Łyczakowskiego – jednej z najpiękniejszych nekropolii na

świecie, porównywalnej z paryskim Père Lachaise, londyńskim Highgate Cementery czy rzymskim Campo Verano. Na Łyczakowie spoczywa kwiat polskiej inteligencji – ludzie kultury, nauki i gospodarki. Cmentarz ma ponad 200 lat, a swoje rzeźby nagrobne zostawili tam artyści formatu światowego – Niemcy, Polacy, Austriacy i Włosi, tacy jak Hartmann Witwer, Anton Schimser, Abel Marie Périer, Parys Filippi, Leonard Marconi czy też Antoni Kurzawa i Luna Drexlerówna. Na tym cmentarzu wykonałem 12 tysięcy zdjęć, w czasach Breżniewa, gdy cmentarz był zaniedbany, w dużej części zdewastowany i nikt nie przypuszczał, że Związek Sowiecki upadnie. Swoją monografię o cmentarzu Łyczakowskim pisałem w okresie stanu wojennego, do szuflady. A gdy przyszedł czas, kiedy w Polsce zelżała cenzura, moja książka o łyczakowskiej nekropolii, wydrukowana przez Ossolineum, stała się sensacją. Nazwano ją nawet literaturą pieriestrojkową. Wyszła w nakładzie 300 tysięcy egzemplarzy. Przełamała mur milczenia o Lwowie. Stała się Książką Roku 1989 i dostałem za nią kilka prestiżowych nagród, w tym londyńskiej Fundacji Kulturalnej im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego. Monografia łyczakowska miała kilkaset pozytywnych recenzji, także na Ukrainie, i uczyniła mnie rozpoznawalnym wśród polskich historyków. Dzięki niej mogłem osobiście poznać tak wybitnych lwowian, jak Stanisław Lem, Wojciech Kilar, Adam Hanuszkiewicz, Andrzej Hiolski, Alfred Jahn czy Kazimierz Górski, i bywać w ich domach. Mogłem poznać lwowian żyjących jeszcze wówczas nie tylko we

Wrocławiu, Krakowie czy Warszawie, ale też w Londynie i Paryżu. Jerzy Janicki – wybitny scenarzysta i piewca Lwowa nazwał mnie wówczas „adoptowanym dzieckiem Lwowa”.

Cmentarz Łyczakowski jest jednym z najstarszych obecnie istniejących europejskich cmentarzy (młodsze od niego są: Rakowicki w Krakowie, Powązki w Warszawie, Père-Lachaise w Paryżu). Na Cmentarzu Łyczakowskim leżą wielcy Polacy (m.in. Maria Konopnicka, Gabriela Zapolska, Artur Grottger, Stefan Banach). Cmentarz Obrońców Lwowa, znany jako Cmentarz Orląt, stanowi wydzieloną część Cmentarza Łyczakowskiego. Na Cmentarzu Orląt spoczywają Polacy polegli w obronie Lwowa w czasie wojny polsko-ukraińskiej w latach 1918-1919 i w czasie wojny polsko-bolszewickiej z 1920 r. Pochowanych jest tam blisko 3 tys. żołnierzy, głównie chłopców – stąd nazwa Cmentarz Orląt. Jaka była Pana rola w ratowaniu tego cmentarza?

Po sukcesie książki o Cmentarzu Łyczakowskim, w której jeszcze ze względów cenzuralnych musiałem pominąć wątek Orląt Lwowskich, postanowiłem – a był już rok 1990 i o losach Polski decydowała „Solidarność” – wypełnić białą plamę i napisać historię Orląt. Zająłem się wówczas odtworzeniem dziejów Cmentarza Obrońców Lwowa. I właściwie napisałem drugi tom poprzedniej książki, szczegółowo opisując ponad 3 tysiące

zmarłych obrońców Lwowa, którzy spoczywali w sprofanowanej jeszcze wówczas przez sowieckie czołgi kwaterze Orląt. Wtedy też, a był to czas – jak już wspomniałem – pierwszych rządów „Solidarności” w Polsce, moja książka o Cmentarzu Orląt stała się jedną z merytorycznych podstaw służących odbudowie tej kwatery cmentarnej. Byłem w grupie ekspertów przygotowujących dokumentację odtworzenia i renowacji Cmentarza Orląt.

Zbiegło się to z moim senatorstwem. Nigdy nie czułem się politykiem. Byłem historykiem-badaczem, ale miałem przekonanie, że bez włączenia się w działalność polityczną moje pomysły będą miały ograniczoną skalę oddziaływania i realizacji. Mam więc satysfakcję, że byłem jednym z uczestników odbudowy Cmentarza Orląt i dostałem wyróżnienia, mogąc w 2005 roku uczestniczyć w otwarciu odbudowanego Cmentarza Orląt we Lwowie. Jako senator RP stałem w pobliżu miejsca, gdzie prezydenci Polski – Aleksander Kwaśniewski i Ukrainy – Wiktor Juszczenko oficjalnie przecięli wstęgę i udostępnili ten cmentarz rodzinom obrońców i pragnącym po latach złożyć hołd walczącym o polski Lwów. Uroczystość na żywo relacjonowały polskie i ukraińskie media, w tym państwowe telewizje. Moja książka o Cmentarzu Orląt była mocno popularyzowana w kraju i na emigracji jako zapis historii tej wojskowej nekropolii i tragicznych losów, które przetoczyły się przez Lwów w pierwszej połowie XX wieku.



Prof. Stanisław Nicieja na rynku w Zamościu z Jerzym Hoffmanem - reżyserem, który zekranizował całą „Trylogię” Henryka Sienkiewicza

Niezwykłą Pana pracą jest seria tomów „Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych”. Seria ta wzrusza, budzi podziw, wywołuje uczucia, chroni od zapomnienia. Przywołuje Pan wiele postaci - świadków historii, pokazuje przeszłość i teraźniejszość. Tyle pasji... uprawia Pan biografistykę, łączy Pan szczęśliwie naukę z literaturą i historią.

Książki o Lwowie, a głównie o jego nekropoliach, których napisałem kilka, ugruntowały moje zainteresowanie Kresami, bo ci, którzy byli wybitnymi lwowianami opisanymi przeze mnie w monografiach cmentarnych, pochodzili często z miasteczek kresowych. Postanowiłem więc pokazać ich rodowody. I wówczas odkryłem tematykę, która dała mi szeroki lot. Uświadomiłem sobie, że Polska w wyniku II wojny światowej, przesunięta jak klocek na mapie Europy o 250 kilometrów na zachód, znad Zbrucza, Horynia i Dźwiny nad Odrę i Nyse Łużycką, straciła w wyniku układów jałtańsko-poczdamskich ponad 200 miast, tysiące wsi, setki kościołów, klasztorów, cmentarzy, tysiące dworów i pensjonatów. Postanowiłem więc opisać historie tych miejscowości, tych zabytków, tych ludzi, po których w wyniku tragicznych wydarzeń wojennych zostały tylko wypłowiałe fotografie, garść wspomnień i wielkie sentymenty czy resentymenty.

W miejscach, gdzie żyli, gdzie stały ich domy, warsztaty czy fabryki dzisiaj są tam często tylko chaszcze, zarośla, gruzowiska, albo nie ma po tych budowlach nawet śladu. Rezydencje pałacowe, świątynie, dwory, hotele, parki i ogrody zostały unicestwione przez pożogę wojenną niczym mityczna Atlantyda, zostały zmiecione z powierzchni ziemi w czasach bratobójczych walk. Nie spodziewałem się, że reakcja na to moje nowe wydawnictwo będzie tak duża i że recepcja książek z tej serii będzie tak akceptowalna i wywoła lawinę informacji, która drogą

mailową, pocztową i telefoniczną popłynęła na mój adres. Otrzymałem tysiące zdjęć, dokumentów, wspomnień, różnego typu informacji, które płynęły od ostatnich świadków usuniętych z Kresów w wyniku ekspatriacji oraz od ich późnych wnuków. W ten sposób powstało moje nowe, ogromne archiwum właściwie wywołane przez tę serię książek noszących tytuł „Kresowa Atlantyda”.



Ryszard Kapuściński w gościnie u Haliny i Stanisława Niciejów w ich dworku „Niciejówka” w Pępicach

Ukazało się już 17 tomów, w przygotowaniu są następne. Jakie będą tematy kolejnych tomów „Kresowej Atlantydy”?

Tych 17 tomów to ponad 5 tysięcy stron tekstu i około 5 tysięcy dokładnie opisanych fotografii miejsc i ludzi. W tych tomach zawarte są biografie głównie polskich i żydowskich mieszkańców ziem utraconych, ale też historie ich późnych wnuków. Bo staram się w mych książkach pokazać nie tylko kim byli babka, dziadek czy pradziadkowie mieszkający we Lwowie, Stanisławowie, Grodnie lub Wilnie, ale jakie losy są ich potomków – wnuków czy prawnuków, którzy znaleźli się w powojennym Wrocławiu, Szczecinie, Zielonej Górze, Legnicy, Strzegomiu czy Koszalinie. Czy utrzymali poziom materialny i intelektualny swych przodków, czy go zmarnowali bądź rozbudowali? Czy pamiętają o swoich korzeniach? To jest esencja moich książek – ogromna warstwa biograficzna. Ciągłe powtarzam i podkreślam, że historię tworzą konkretni ludzie ze swoimi talentami i dokonaniami. Szukam w ich życiorysach barw kulturowych i cywilizacyjnych. Przeplatam ich biografie anegdotami, literackimi opisami, poezją i rejestruję ich dokonania. I tu dopatruję się akceptacji tej serii książek, bo w sumie nakład „Kresowych Atlantyd” dochodzi już do 200 tysięcy egzemplarzy. I dla wielu rodzin poszczególne tomy stały się... biblią rodzinną, są dokumentacją ich korzeni cywilizacyjnych i kulturowych.

Posuwam się w swej pracy jak japoński pracoholik – co pół roku kolejny tom „Kresowej Atlantyd”, a w nim 4-7 miejscowości, z opisem biografii kilkuset rodzin, zilustrowanych ich osobistymi zdjęciami. Pracuję obecnie nad 18. tomem – historią wołyńskich

miasteczek: Mizocz, Zdołbunów, Równe i Włodzimierz Wołyński. Przywołuję historie rodzinne takich Kresowian, jak choćby Jerzego Antczaka z Włodzimierza Wołyńskiego – słynnego twórcy ekranizacji powieści „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej, Jonasza Kofty – poety, twórcy wspaniałych ballad, autora wielkiej pieśni „Pamiętajcie o ogrodach”; czy też – pisząc o Równem – przywołuję jedną z legendarnych postaci „Solidarności” – Annę Walentynowicz, która też ma wołyński rodowód.

Ma pan szczęście do ludzi... Pisze Pan, że te tomy „Kresowej Atlantydy” nie mogłyby powstać bez udziału setek potomków rodzin Kresowian, którzy przysyłają Panu dokumenty, fotografie, wspomnienia.

Tak, to moje wielkie szczęście, że przez swoje książki pozyskałem zaufanie. I to, że ludzie odkrywając przede mną najskrytsze tajemnice, nie lękali się, że ich historie strywializuję, że będę surowym sędzią czynów i dokonań ich przodków. Jest to ważne dla mnie w czasach, gdy ludzie boją się lustracji i obnażania politycznego – ten lęk rozlewa się po współczesnej Polsce w czasie irracjonalnych podziałów, zwłaszcza gdy historia jest wykorzystywana do walki politycznej i potępiania inaczej myślących. Dopóki będę miał zaufanie ludzi, że nie spożytkuję źle i koniunkturalnie ich rodzinnych faktografii, kolejne tomy będą powstawać i wierzę, że będą mieć akceptację czytelniczą.

Pisze Pan nie tylko o sławnych postaciach, ale pokazuje życie lekarzy, księży, nauczycieli, działaczy społecznych.

Dotyka Pani istoty sprawy. Nie uważam bowiem, że historię tworzą tylko ludzie z pierwszych stron gazet – politycy, premierzy, generałowie, kardynałowie, biznesmeni. Uważam, że historię tworzymy wszyscy. Tylko jedni z nas tworzą historię całego narodu, a inni historię lokalną czy mini historię swojej rodziny, miasteczka czy przysiółka. Nie jest ważne, jaką funkcję człowiek pełnił, tylko to, co po sobie zostawił. Czasem polityk o randze senatora, generała czy ministra okazywał się szkodnikiem społecznym, i zdarzało się, że wpływał destrukcyjnie na toczące się wydarzenia. Dlatego też pokazuję np. postacie charyzmatycznych proboszczów, którzy umieli wokół siebie skupiać ludzi, inspirować ich do twórczej pracy i odgrywali częstokroć ważniejszą rolę od arcybiskupa, który nie miał takiej osobowości. W poszczególnych tomach „Kresowej Atlantydy” są dziesiątki biografii nauczycieli, notariuszy, prawników, działaczy harcerskich, członków stowarzyszeń katolickich czy sportowych, różnych hobbystów, kolekcjonerów i wynalazców, którzy zostawili niezwykle owoce swej działalności. I najważniejsze – ludzką wdzięczność. Byli solą tamtej ziemi.



Stanisław i Barbara Lemowie w towarzystwie Haliny i Stanisława Niciejów, Kraków 1999 r.

Ocala Pan od zapomnienia, przypomina, że państwo polskie miało zmieniające się granice - od Bałtyku po Morze Czarne, od Śląska po Żmudź i Inflanty. Przypomniał Pan - że historia Polski obejmuje zmianę obszarów, pokazał naszą bogatą spuściznę kulturową.

Piszę o fenomenie polskiej historii. Istniejące od ponad tysiąca lat państwo polskie tym wyróżnia się od innych państw europejskich, że nie miało przez całe stulecia tych samych granic, tak jak np. Hiszpania leży od wieków w tym samym miejscu (między Portugalią a Pirenejami). Podobnie Francja,

Włochy, nie mówiąc już o Anglii, Holandii czy Norwegii. A Polska na przestrzeni wieków miała pulsujące granice. Inny kształt miała w czasach piastowskich, inny w czasach jagiellońskich, inny za Wazów i Sasów. Był czas, że zniknęła z mapy Europy i odrodziła się gdzieś nad rzekami Zbrucz, Niemen, Czemosz, i miała wówczas w swych granicach Wilno i Lwów, a po kilkudziesięciu latach miała już w swych granicach dawne miasta niemieckie – Szczecin, Wrocław czy Opole, a Lwów i Wilno były już w innych państwach. Pisanie więc o Polsce w granicach państwa, w którym obecnie mieszkam, byłoby wycięciem sobie przynajmniej połowy mózgu. Bo gdzie urodził się Piłsudski, Paderewski, Miłosz, Herbert czy Lem. Poza granicami państwa, w którym żyję. A więc pokazuję, jak szeroko sięgały swoimi wpływami polskie rodziny i rody, gdzie budowały swoją wielkość i co traciły. Był czas, gdy Polska z lennami miała obszar ok. 1 milion 200 tysięcy kilometrów kwadratowych, a dziś ma 312 tysięcy km², czyli czterokrotnie mniej. I właśnie o tym m.in. piszę w „Kresowej Atlantydzie”.

Pisał Pan o kresowym Trójmieście: Truskawcu, Drohobyczu i Borysławiu; o dziejach Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, Drohobycza. Borysławia, Kołomyi, Krzemieńca, Łucka, Pińska, Śniatyna, Stryja, Złoczowa... Nie pomija Pan także mniejszych miejscowości, o których nie wspomina się często.

Wymieniła Pani najważniejsze miasta i ośrodki przemysłowe, które dotychczas opisałem w swoim cyklu kresowym. Tam jest esencja faktograficzna dla moich opisów. Ale przy tych dużych skupiskach miejskich, bądź nieopodal nich były małe miejscowości, wsie czy przysiółki, z których wyszli niepospolici ludzie. I nim stamtąd wyszli, byli twórcami ważnych faktów, mieli tam swoje dwory, manufaktury, pracownie artystyczne, miejsca spotkań towarzyskich. I to dla mnie było i jest też przedmiotem pracy badawczej.

Pisał Pan o „polskim Londynie”, przywoływał postaci Mariana Hemara, Włady Majewskiej...

W mojej biografii twórczej jest też ważny epizod londyński. W sumie nad Tamizą, dzięki Fundacji Lanckorońskich oraz pomocy Tadeusza Zabłockiego (urodzonego w Kijowie), Józefa Baranieckiego, Stefanii Kossowskiej i Włady Majewskiej (urodzonych we Lwowie), spędziłem w Londynie w sumie około rok. Penetrowałem polskie cmentarze w londyńskich dzielnicach, korzystałem z Biblioteki Polskiej i archiwaliów Instytutu Sikorskiego i wówczas powstały moje eseje o Hemarze, prezydentach Ryszardzie Kaczorowskim, Edwardzie Raczyńskim i Kazimierzu Sabacie, o twórcy polskiej kliniki lekarskiej w Londynie – Emilu Niedźwirskim, o dziennikarzu i publicyście – Karolu Zbyszewskim oraz duża monografia pt. „Z Kijowa na Piccadilly” o rodzinie Zabłockich. Na łamach londyńskiego

„Tygodnia Polskiego” i „Orła Białego” opublikowałem kilkadziesiąt artykułów, głównie o ludziach „polskiego Londynu”.



1 Rodzina Niciejów (od prawej): Halina i Stanisław, ich córki – Wisłomira i Ariadna, synowa Małgorzata oraz wnuki – Tycjan i Owidiusz

Wiele Pan zawdzięcza małżeństwu z Haliną (z domu Romuzga), która jest naukowcem matematykiem. Znają się Państwo od czasów szkolnych, razem odwiedzali Wołyń, Podole i Galicję Wschodnią. Działają Państwo wspólnie – i są tego wspaniałe wyniki.

Miałem życiowe szczęście, spotykając na progu mych

zainteresowań inną płcią, bo już w pierwszej klasie liceum, kobietę mego życia – o niezwyklej urodzie i zdolnościach intelektualnych. Jesteśmy symbiozą. Od 50 lat pracujemy razem, uzupełniamy się. Ja mam naturę rozwichrzoną, emocjonalną, ona stonowaną i pragmatyczną. Mnie ponosi temperament, ona mocno stoi na ziemi. Mogę powołać się na przykład Jerzego Antczaka – znakomitego polskiego reżysera, który pisząc o swoim małżeństwie z Jadwigą Barańska wybitną aktorką, stwierdził, że spotkało go szczęście, iż mając naturę impulsywną jak wulkan i zmienną w nastrojach, ma żonę zorganizowaną „jak kancelaria III Rzeszy”. Podobnie jest w moim małżeństwie. Pragmatyzm żony stabilizuje moje życie. Przemierzyliśmy Kresy wzdłuż i wszerz. Nakręciliśmy wspólnie kilkadziesiąt filmów. Zbudowaliśmy dwa domy – w Opolu i wiejski dworek w Pępicach, na granicy Górnego i Dolnego Śląska. Wykształciliśmy i wyposażyliśmy trójkę dzieci. W obu domach są duże księgozbiory i ogromne archiwa dokumentów kresowych. To wspólne pisanie i redagowanie książek może trwać tak długo, dopóki będziemy sprawni i zdrowi – i ja, i żona.

Ukazały się także dwa tomy Księgi Jubileuszowej, które ofiarowano Panu w 45-lecie pracy naukowej i organizacyjnej: „Dowód Istnienia” i „Nicieja – dziejopis – komentator i polemista – mistrz słowa”. Piękna to rocznica, prawda?

Jest w Polsce piękna tradycja uniwersytecka, że z okazji jubileuszu uniwersytet obdarowuje swego profesora księgą pamiątkową. I mój uniwersytet wydał taką dwutomową księgę zredagowaną przez moich uczniów-profesorów – Danutę Kisielewicz i Mariusza Sawickiego. Zamieszczono tam prawie pełną bibliografię moich prac – ponad 40 książek i około 1000 artykułów, zebrano wypowiedzi na mój temat, m.in. tak wybitnych postaci, jak Stanisław Lem, Ryszard Kapuściński, Wiesław Myśliwski, Jerzy Janicki, Janusz Majewski czy Andrzej Mularczyk. Ozdobiono tę księgę ponad 600 fotografiami, z postaciami, z którymi miałem kontakt osobisty. Spotkał mnie zaszczyt udokumentowania przez uniwersytet mego dorobku życiowego. Te dwa tomy książki jubileuszowej są rzeczywiście „dowodem mego istnienia” (jest to cytat z sentencji, która jest wypisana na frontonie mego dworku „Niciejówka” w Pępicach. Sentencja ta brzmi: „Gdy cię spytają, jaki jest dowód twego istnienia, co odpowiesz?”) Więc ta księga jubileuszowa jest takim dość precyzyjnym dowodem mego istnienia na powojennym Śląsku i w Opolu. A może i szerzej?



Prof. Stanisław Nicieja z wydawcą „Kresowej Atlantydy” – Bogusławem Szybrowskim na Zamku Królewskim w Warszawie po otrzymaniu Nagrody KLIO za edycję tej serii książek **Nie stroni Pan również od trudnych tematów - np. czystki etnicznej o znamionach ludobójstwa - czy zbrodni dokonanych na Polakach na Wołyniu (1943) i w Małopolsce Wschodniej. Podejmuje Pan temat akcji „Wisła” (1947).**

Sprawa rzezi wołyńskiej, ale też podolskiej i pokuckiej to wielki cień w stosunkach polsko-ukraińskich. Od pokoleń nieusunięty przez polityków polskich i ukraińskich, przez ich nieumiejętność rozwiązywania tej sprawy. Mijają lata, a jesteśmy prawie w tym

samym punkcie. W moich książkach ukazuję ogrom tej zbrodni i daję setki konkretnych, niepodważalnych dowodów, że było to ludobójstwo. Nie jestem historykiem dworskim, nie interesuje mnie, kto teraz Polską rządzi i jaką politykę historyczną narzuca konkretny minister edukacji. Jestem jako historyk niezależny, bo żadnej z moich książek nie dotowała żadna opcja polityczna – ani z prawa, ani z lewa. Mogę wydawać kolejne tomy tylko dlatego, że poprzednie miały swych czytelników i zwróciły się koszty ich druku. A są one niemałe, bo wydawca, Bogusław Szybkowski, wydaje „Kresową Atlantyde” na najlepszym papierze, z doskonałymi skanami fotografii, w kolorze i ze znakomitymi jakościowo twardymi okładkami. Piszę w tych książkach o sprawach kontrowersyjnych, starając się o maksymalny obiektywizm i szeroki kontekst obyczajowo-historyczno-polityczny.

Powtarza Pan często, że trzeba pamiętać o korzeniach. Przypomniał Pan wypowiedź swojego wuja, który przytoczył słowa prezydenta Johna Kennedy’ego z 1961 roku: „Moi rodacy, nie pytajcie, co kraj może zrobić dla was, pytajcie, co wy możecie zrobić dla swego kraju”. Przytacza je Pan kilka razy - jako rozumienie patriotyzmu.

Mam głębokie przekonanie, że należy znać swoje korzenie rodzinne. Należy szczyć się tymi, którzy imponowali szlachetnością, mądrością i zostawili po sobie ważne dokonania.

Nowoczesne społeczeństwa muszą się opierać na wartościach niepodważalnych, sprawdzonych, bo bez nich trudno budować przyszłość. Społeczeństwo to – by użyć metafory – nie jakaś termitiera, mrowisko, w którym żyją istoty, które się napełniają i opróżniają, nie mają żadnej nazwy, nawet x czy y, mają swój czas biologiczny i nagle giną, przemijają, nie zostawiając śladu. Takie społeczeństwo nie ma racji bytu. Musimy wiedzieć skąd przyszliśmy, jaką drogą idziemy i gdzie oraz z kim chcemy dalej iść. I takie przykłady o tym skąd przyszliśmy i co zostawiliśmy po sobie są we wszystkich moich książkach, z 17. tomami „Kresowej Atlantydy” na czele. Cytat z wypowiedzi Kennedy’ego, do którego często wracam, jest rzeczywiście dla mnie esencją patriotyzmu. Nie żądam od mojego państwa, żeby coś mi dało, ale staram się moją pracą w jakimś skromnym wymiarze o coś mój kraj wzbogacić.

Co dalej - Panie Profesorze?

Jeżeli będzie nam (i żonie, i mnie) służyło zdrowie i nie ostygnie mi wyobraźnia, to będziemy posuwać się w realizacji centralnego zamierzenia – opisanie historii miejscowości, które Polska utraciła po II wojnie światowej oraz przypomnienia wielu mieszkającym dziś nad Odrą, Nysą Łużycką, Notecią czy Wartą o ich kresowych korzeniach.



Halina i Stanisław Niciejowie przed swoim dworkiem w Pępicach
*Wywiad w skróconej formie ukazał się w nowojorskim „Nowym
Dzienniku” (09. 02. 2022 r.).*

Wierszyki na Dzień Dziecka

Wierszyki te przepełnione są miłością języka polskiego oraz głębokim sentymentem do Ojczyzny. Pisałam je z nadzieją, że pomogą one polskim dzieciom w Kraju i za granicą w miły, łatwy i wesoły sposób w nauce języka angielskiego, jak również z nadzieją, że moja wnuczka pokocha język polski i moją Ojczyznę.

Krystyna Stevenson

Krystyna Stevenson podczas wieczor w Ambasadzie Polskiej w Londynie, z okazji 75-lecia powstania Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, z książką "Wierszyki dla mojej Wnusi".



Krystyna Stevenson ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim. Zanim wyjechała z Polski, pracowała jako prezenterka telewizyjna i dziennikarka. Była również asystentem reżysera w polskim filmie. Obecnie pracuje jako psychoterapeuta w Londynie. Od kiedy pamięta, pisze opowiadania i wiersze. Jej ostatnie publikacje w języku

angielskim to: thriller psychologiczny „Co jest prawdą” (tylko dla dorosłych), „Historia niedźwiedzia: przewodnik wewnętrzny” (dla dzieci) i „Pamięć światła – współczesny cud” (napisany wspólnie z Thomasem Clough Daffernem). „Wierszyki dla mojej Wnusi” wydane w 2015 roku powstały z miłości i tęsknoty. Saskia, dla której książeczka została napisana, mieszka bowiem wraz z rodzicami na pięknej wyspie Koh Samui w Tajlandii. Jakże to daleko od Londynu. Ta dwujęzyczna książeczka jest uniwersalna, może służyć każdemu dziecku o polskich korzeniach, temu mieszkającemu za granicą, do nauki języka polskiego, a temu mieszkającemu w Polsce, do nauki języka angielskiego. Wiersze na język angielski przetłumaczyła Judy Karbritz – poetka i performerka. Książka została bogato zilustrowana przez Mari l’Anson, która przez całe swoje zawodowe życie pracowała jako ilustratorka książek dla dzieci i dorosłych. Książka jest dostępna na Amazon.

*

ANIELE STRÓŻU MÓJ

„Aniele stróżu mój,
Ty zawsze przy mnie stój,
Rano wieczór, we dnie, w nocy.
Bądź mi zawsze do pomocy.”

Gdy to babcia powiedziała,
Wcale się nie uśmiechała.
Tak poważna wtedy była,
Jakby sama w to wierzyła,

Jakby miała mi przekazać,
Coś ważnego i nie zrażać,
Nie obrażać uśmiechami,
Aby wciąż zostało z nami,

Jak ten moment świadomości,
Który w nas z kosmosu gości,
Który łączy wszechświat cały,
By się dzieci uśmiechały
I szczęśliwe ciągle były
I w radosnym świecie żyły.

*





Krystyna Stevenson z wnuczką Saskią w Disneylandzie

*

PSZCZÓŁKA MAŁA, KTÓRA NIE CHCIAŁA BYĆ KRÓLOWĄ

Była sobie pszczołka mała,

Bzykająca, złota cała.

Prążki miała brązowiotkie

I skrzydełka też malutkie.

Pracowniczką pszczołka była;
Nektar z kwiatków przynosiła.
Burzy, wiatru się nie bała,
Do słoneczka uśmiechała.

Taka była mądra, miła,
Miłość w każdym obudziła.
"Może zrobić ją królową;
Pięknie mówi polską mową?"
I na wiecu się zebrali,
I pytanie przekazali:

"Chciałabyś być pszczoł królową?"
"Nie!" – odpowie, kręcąc głową;
"Pięknie musi być ubrana
I uśmiechać się od rana.
Gdy ją chłopiec pocałuje,
To kraj cały krytykuje.

W ulu siedzieć i się nudzić,
Nie daj Boże się ubrudzić.
Tylko dzieci produkować,
Myśleć, jak tu je wychować,
Aby chlubę przynosiły;
Mamy, babcie się szczyciły.

A ja jestem pszczołka mała,
Fruwam sobie, w słońcu cała.
Popracować trochę trzeba;
Nectar zbierać- wola nieba...
Ale wolna czuję się;
NA SWIAT PATRZĘ TAK JAK CHCĘ!”.

*



Pszczółka, która nie chciała być królową, zrobiona przez Saskię dla Babci z okazji imienin

*

BOGINIE I ŁAPÓWKI

Raz boginki trzy tu były
I bez przerwy się kłóciły;
Która najpiękniejszą jest,
Aż dostały Paris test.

“Piękny taki i był wszędzie,
Niech więc naszym sędzią będzie.
Ekspert on w kobietach jest,
Więc się pozna na nas też”.

Łapówkami go nęcono
I nagrodę przepłacono;
Na Helenę mu wskazano;
Wojnę z Troją wywołano.

To w zamierzchłych czasach było;
Dotąd się nic nie zmieniło;
Od maleńkiej już dziewczynki,
Przekupiamy za malinki.

Jeśli babcia większe dała,
Będzie babcię wnet kochała.
Miłość mamy zapomniana,
Bo nie dała nic od rana.

Od małejkiej przekupują ,
A następnie się dziwują ,
Że świat łapówkowy mamy;
Nie zapłacisz - nic nie damy.

*



Saskia z babcią i dziadkiem na statku



Podróże z babcią i dziadkiem

*

URODZONA POD ZNAKIEM LWA

Lwicą dużą jest Babunia,

Małe lwiątko to Sasunia.

Dziadek także duży lew,

Byle tylko nie wpadł w gniew.

Dużą grupę lwów tu mamy,
Wszyscy bardzo sie kochamy;
Wujek Sławek to lew słodki,
Iga, Sylwia lubią plotki...

Kilka innych lwów też znamy,
Ale tamtych nie kochamy,
Tak aż bardzo jak Babunię
I naszą śliczną Sasunię.

Nie do wiary, co Wam powiem;
Prababunia Sasi bowiem
Była również lwicą panią,
Każdy w ogień chciał iść za Nią.

Całą wojnę przewalczyła,
Ciągłe piękna, nie utyla.
A po wojnie wspominała,
Gdzie przed wojną balowała.

Przekazała nam w pamięci;
Walczyć, jeśli Bóg poświęci
Cel tej walki patriotycznym,
Bohaterskim światłem ślicznym.

Również Babci przekazała,

Ze nie wolno być nieśmiała;
Jeśli cel wyznaczysz sobie,
To masz walczyć nawet w grobie.

Babcia ciągle Jej głos słucha,
Głos ten jej dodaje ducha...
Wszystko to mi przekazuje
I na lwicę mnie musztruje.

*



Krystyna Stevenson z dziećmi podczas Warszawskich Targów Książki w 2019 r.

Autorka i jej wierszowane bajki:

Zobacz też:

Baśniowe opowieści bez przemocy w treści

Wieczór promocyjny „Wyboru wierszy” Wandy Babińskiej

w Konsulacie Generalnym RP w Montrealu



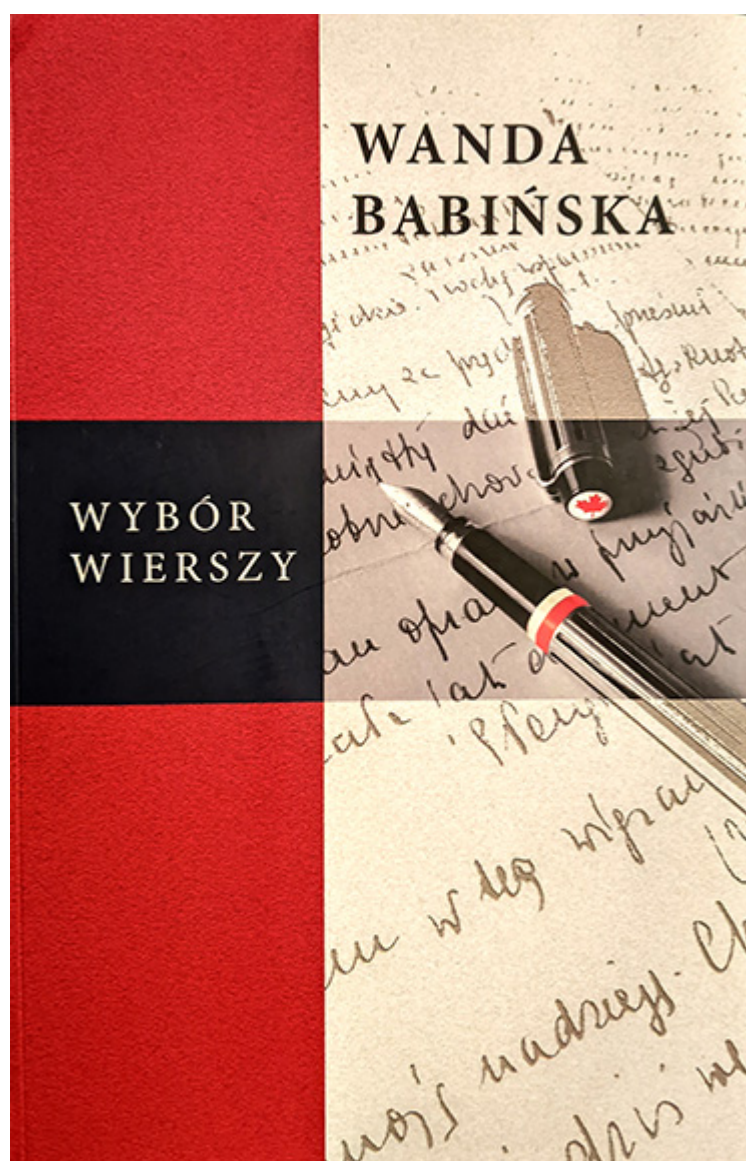
Spotkanie w Konsulacie RP w Montrealu, poświęcone Wandzie Babińskiej. Od lewej: Bożena Szara, konsul Dariusz Wiśniewski i Katarzyna Szrodt, fot. arch. Konsulatu RP w Montrealu

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Wanda Babińska – poetka, dziennikarka, animatorka życia artystycznego Polonii kanadyjskiej w latach 1940-1963, po raz drugi była bohaterką spotkania w konsulacie RP w Montrealu. Okazją, by 19 maja otworzyć „post covidowy” sezon kulturalny wieczorem właśnie jej poświęconym, była promocja pierwszego wyboru wierszy Wandy Babińskiej. Katarzyna Szrodt – autorka publikacji, Dariusz Wiśniewski – konsul generalny RP i Bożena Szara – montrealaska dziennikarka i radiowiec, podzielili się z publicznością swoją wiedzą o Wandzie Babińskiej, jak również refleksjami odnośnie jej poezji.

Wanda Babińska, urodzona w 1917 roku w Warszawie, była córką polskiego dyplomaty Wacława Babińskiego i Maryli z Wodzińskich Babińskiej. Należała do nowego pokolenia młodych kobiet, które dzięki talentom artystycznym i silnej osobowości, odeszły od modelu kobiety domowej, matki i żony żyjącej w cieniu męża. Taką kobietą nowoczesną była Stefania Grodzieńska – artystka kabaretowa, pisarka, satyryczka pisząca felietony do „Szpilek”. Z tego pokolenia była Irena Krzywicka – „gorszycielka”, pisarka, tłumaczka, publicystka i feministka, odważnie podnosząca kwestie kobiet i tematy tabu na łamach prasy, jak również realizująca w życiu model kobiety wyzwolonej z krępujących konwenansów społecznych. Gdyby Wanda Babińska pozostała w Polsce, niewątpliwie swoją twórczą i bezkompromisową osobowością dałaby się poznać w świecie artystycznym, tak jak Grodzieńska, Krzywicka czy odkryta

niedawno poetka Zuzanna Ginczanka. Talenty artystyczne Wandy miałyby większą szansę rozwoju w inspirujących artystycznych kręgach międzywojennej Warszawy niż stało się to poza krajem. W Kanadzie musiała przede wszystkim zarabiać na życie, nie mogła utrzymać się jako artystka – poetka, dziennikarka, aktorka, a jednak walczyła o siebie dzielnie i w połowie lat 50. została felietonistką gazety kanadyjskiej.



Wanda Babińska, Wybór wierszy, wybór i opracowanie Katarzyna Szrodt, wyd. Bernardinum 2021

Poezja towarzyszyła Wandzie od dziecka, stając się powiernikiem przeżyć – emocji- miłości. Ten pamiętnik poetycki dzieli się na wiersze miłosne i patriotyczne, pisane w czasie wojny i drukowane w „Tygodniku Polskim” w Nowym Jorku i w „Dzienniku Polskim” w Londynie. Jan Lechoń, redaktor naczelny „Tygodnika Polskiego”, w liście do Wandy pasował ją na „polską Safonę”.

Tymi wszystkimi informacjami związanymi z życiem i twórczością Wandy Babińskiej podzieliła się Katarzyna Szrodt. Bożena Szara, animująca wieczór, przeczytała wybrane wiersze patriotyczne, zaś Dariusz Wiśniewski przypomniał historyczne okoliczności przybycia do Kanady rodziny Babińskich oraz zasługi ojca Wandy, Wacława Babińskiego, na niwie dyplomatycznej. Wiersze miłosne i wojenne czytała Aleksandra Przybyła.

Na zakończenie Katarzyna Szrodt przeczytała „Pożegnanie rymów” – wiersz, którym Wanda pożegnała się ze swoją poezją, czując, że opuszcza ją wena twórcza towarzysząca jej od wczesnej młodości:

Na zmiennym trakcie życia, w codziennym kieracie

zajęć związanych z troską o życie tułaczę –

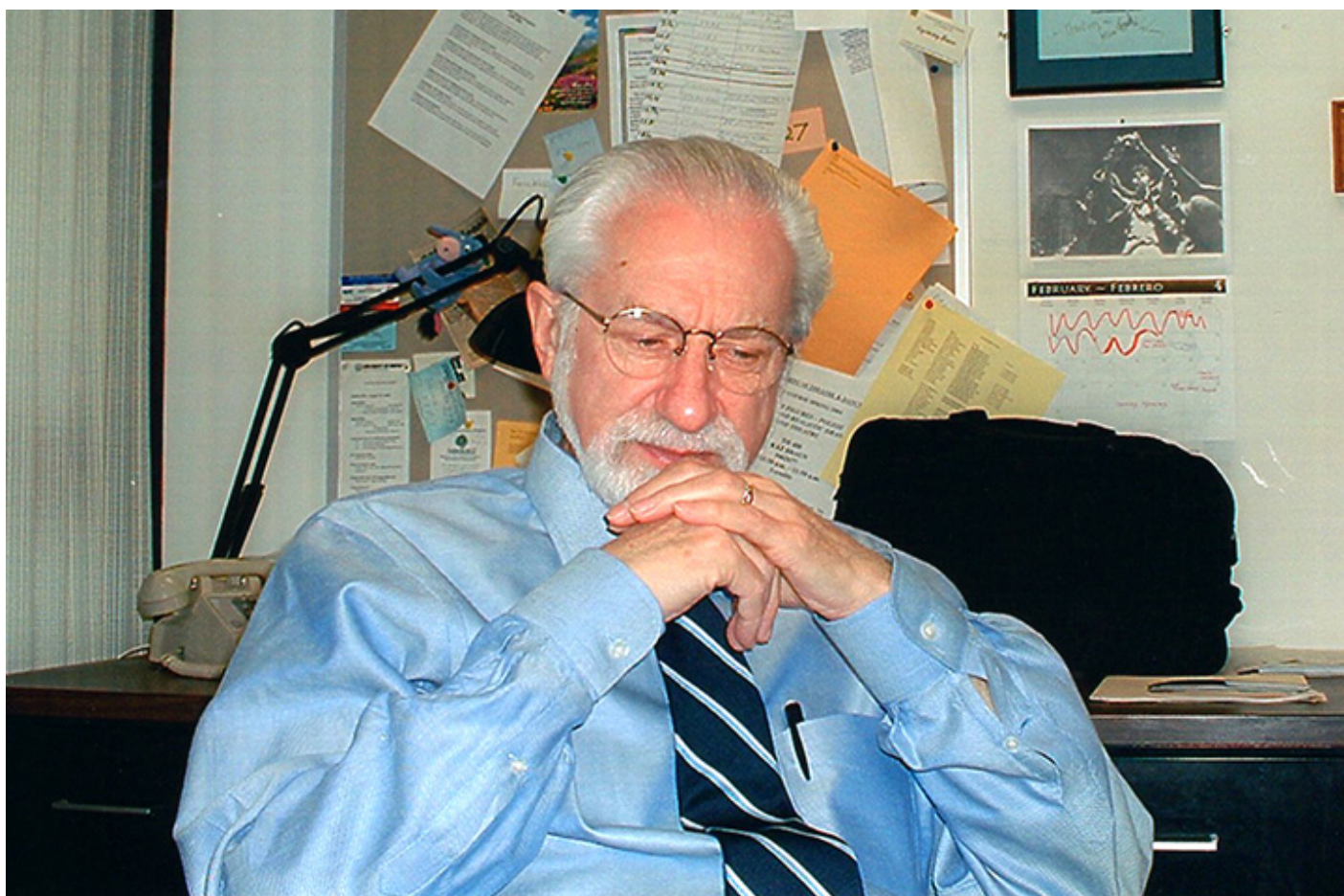
Zgubiłyście się rymy...

Obecni na promocji otrzymali „Wybór wierszy” Wandy Babińskiej w prezencie, a przy lampce wina można było podzielić się wrażeniami z autorką publikacji i z rodziną Babińskich. Był to bardzo udany wieczór i jak ujęła to trafnie Bożena Szara: „Atmosfera wieczoru była niezwykła i wydawało się, że Wanda była też obecna na spotkaniu”.

Zobacz też:

Wojna - Poezja - Dyplomacja. Nieznana poetka - Wanda Babińska.

Norwid – to wielki zbiorowy obowiązek. Część 2.



Prof. Kazimierz Braun, fot. arch. K. Brauna

**Z prof. Kazimierzem Braunem - dramaturgiem, reżyserem,
wykładowcą akademickim, znawcą Norwida - rozmawia**

Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*):

Poezja Norwida jest trudna dla przeciętnego czytelnika. Może dlatego za życia nie był zrozumiany. Jego pamięć przywrócił dopiero, wspomniany już, Zenon Przesmycki - Miriam. Wiele tekstów, które się zachowały, było niekompletnych, wiele też trudnych do odczytania, pełnych skreśleń, poprawek, o czym świadczą rękopisy przechowywane m.in. w Muzeum Literatury w Warszawie. Na jakie jeszcze problemy napotykali i napotykają współcześni norwidolodzy?

Kazimierz Braun (*Buffalo, Nowy Jork*):

Na trudności natrafiają i norwidolodzy, i „zwykli” czytelnicy. Ale dzisiaj i jedni, i drudzy, mają drogę do Norwida otwartą szeroko, a to dzięki kolejnym wydaniom jego wszystkich - odnalezionych - pism. Słusznie przypomina Pani Przesmyckiego - „Miriam”, który pierwszy podjął wielką pracę odszukania i wydania tego, co po Norwidzie pozostało. Zaczął on publikować swe znaleziska w wydawanym przez siebie czasopiśmie „Chimera” (1901-1908). Następnie zaś wydał wszystkie *Pisma do dziś odszukane* Norwida (w latach 1930. i 1940.). Kolejnej edycji *Pism wszystkich* Norwida dokonał Juliusz Wiktor Gomulicki (w latach 1971-1976),

dodając do niej bezcenne kompendium: *Norwid. Przewodnik po życiu i twórczości* (1976). Trzeciego już wydania *Dzieł wszystkich* Norwida dokonuje Julian Maślanka (poczynając od 2013 r.) w wydawnictwie KUL-u. Liczni wielcy uczeni badali twórczość Norwida: Wacław Borowy, Juliusz Wiktor Gomulicki, Karol Górski, Mieczysław Inglot, Tomasz Miłkowski, Irena Sławińska, Zbigniew Sudolski, Sławomir Świątek, Wiesław Rzońca, Kazimierz Wyka i wielu innych, a sekundowali im uczeni francuscy, holenderscy, węgierscy i inni. Stopniowo Norwid ogromniał. Zajmował coraz ważniejsze miejsce nie tylko w polskim życiu literackim, ale szerzej i głębiej w polskim życiu umysłowym, w kulturze, w polityce. Niedowartościowany wczoraj, okazuje się być z nami dziś.

Pozostają jednak ogromne trudności. Mają one charakter, z jednej strony, „techniczny”, a z drugiej, interpretacyjny. Te pierwsze, wynikają z faktu, że – jak już przypominałem – wiele utworów Norwida dotarło do nas z brakami. Dotyczy to trzech wielkich dramatów *Za kulisami*, *Aktor*, *Kleopatra i Cezar*. Trzeba rekonstruować, adaptować. To wielka przeszkoda. Dodam przy tym, że pewne utwory w ogóle zaginęły, jak na przykład jeden z jego wczesnych dramatów *Patkul*. Są o nim tylko wzmianki. Tekstu nie odnaleziono. A trudności interpretacyjne wynikają z faktu, że Norwid pisał zawsze ogromnie „gęsto” i w każdym właściwie jego tekście obecne są, splecione liczne warstwy.



Cyprian Norwid, „Kleopatra i Cezar”, reż. Kazimierz Braun, Roman Kruczkowski (Kondor), Adela Zgrzybłowska (Kleopatra), Zbigniew Szczapiński (Rycerz), Andrzej Chmielarczyk (Eukast), Lublin 1968, fot. W. Parys, (w:) Kazimierz Braun, Mój teatr Norwida, Wyd. Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2014

Każdy poeta zawsze pisze niejako podwójnie: warstwa pierwsza – potoczne znaczenie, rozumienie i użycie słowa oraz warstwa druga – sens, wyraz, funkcja metaforyczna, symboliczna, uogólniająca słowa. Tak jest i u Norwida, ale materia warstwy pierwszej – doboru słów, pojęć i obrazów – jest najczęściej niecodzienna, zaskakująca, wymagająca wysiłku w rozkodowaniu, a warstwa druga otwiera zawrotne nieraz

perspektywy, rozległe, kosmiczne wręcz horyzonty, trans-historyczne, trans-kulturowe uogólnienia. Trzeba więc Norwida czytać uważnie, z gotowością na zaskoczenia, z pokorą.

Norwid był również utalentowanym artystą. Uczył się rysunku i malarstwa w Polsce, za granicę wyjechał, aby uczyć się rzeźby, studiował m.in. w Akademii Sztuk Pięknych we Florencji. Posługiwał się różnymi technikami - piórkiem, ołówkiem, kredką, akwarelą. Malował też obrazy olejne i portrety. Swoje listy często ilustrował bardzo starannie wykonanymi rysunkami. Jego najbardziej prestiżowym malarskim zleceniem plastycznym był udział w opracowaniu albumu na Wystawę Światową w Nowym Jorku. Jednak jego twórczość plastyczna jest mniej znana, niż poetycka. Jak pan myśli, dlaczego?

Najpierw trzeba wyjaśnić, że studia rzeźby to był raczej pretekst podany przez Norwida rosyjskim władzom zaborczym, aby uzyskać zezwolenie na wyjazd za granicę. Prawdziwe cele jego wyjazdu z kraju były głębsze: jako młody poeta marzył, aby zbliżyć się do przebywających już od lat na emigracji największych polskich poetów, Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego oraz oscylującego między krajem a zachodnią Europą, Zygmunta Krasińskiego. Pragnął uczyć się europejskiej sztuki u jej źródeł, zwłaszcza we Włoszech. Chciał też znaleźć się w centrum współczesnych przeobrażeń politycznych,

cywilizacyjnych i artystycznych, więc w Paryżu. Chciał się wydostać z kraju zniewolonego – na wolność. Wyjechał z Polski 13 czerwca 1842 r. i nigdy już do kraju nie wrócił.

Uprzednio, w Warszawie, uczęszczał na lekcje malarstwa i rysunku dawane przez Aleksandra Kokulara. Dodatkowo, uczył się rysunku u Jana Klemensa Minasowicza. Nauczył się w tym czasie wiele: rysunku z natury i z modelu, kopiowania istniejących obrazów, technik malarskich. W rezultacie stał się biegłym portrecistą i rysownikiem, a także malarzem, rzeźbiarzem i karykaturzystą. W szkole Kokulara Norwid studiował także historię sztuki i zyskał w tym przedmiocie znaczną wiedzę, pogłębianą następnie zwiedzaniem wystaw i muzeów w wielu miastach europejskich. Za granicą systematycznych studiów w dziedzinie sztuk pięknych nie podjął. Był – najprawdopodobniej, przez krótki czas – „wolnym słuchaczem” Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, a potem Akademii Florenckiej. Przez wszystkie następne lata życia skromne dochody z prac rytowniczych i rzeźbiarskich podreperowały jego stale dziurawy budżet.

Wszystko co pisał – pisał nie tylko jako poeta, ale i artysta sztuk pięknych. Przekładało się to na silny żywioł wizualny, stale obecny w jego utworach literackich. Było to wyraźne zwłaszcza w dramacie. To, co postaci mówią – to również widać, to, co się dzieje – staje się materia obrazów scenicznych.

Norwid nie był jednak wielkim malarzem, czy rzeźbiarzem. Nie ma wśród jego prac plastycznych jakichś szerokich panoram, czy krajobrazów; niewiele jest scen zbiorowych. Nie stworzył również wielkich rzeźb w marmurze czy drewnie. Jego dzieła plastyczne zdają się mieć największą wartość artystyczną i ekspresję, gdy przedstawiają pojedyncze osoby, lub niewielkie grupy, twarze, czy przedmioty. Świetne są jego autoportrety. Przykuwają uwagę karykatury. W sumie, jego twórczość plastyczna nie dorasta do poziomu jego dzieł literackich.

Jednym z bardziej znanych wierszy Norwida jest „Fortepian Szopena”. Wiemy, że Norwid poznał Fryderyka Chopina w Paryżu. Jak wyglądała ta znajomość?

Myślę, że to była nie tylko znajomość, ale i przyjaźń. Łączyły ich wspomnienia z Warszawy, miłość do Ojczyzny. Norwid wielokrotnie odwiedzał Chopina. Ostatnią taką wizytę opowiedział przepięknie w *Czarnych kwiatach*. Rozmawiali, rozumieli się, żartowali. Chopin zapewne po prostu lubił młodszego o jedenaście lat poetę, a Norwid podziwiał i szanował genialnego kompozytora i pianistę, głęboko przeżywał jego muzykę. Ich spotkanie, zrelacjonowane w *Czarnych kwiatach* musiało się odbyć gdzieś w lecie 1849 r. Wkrótce po nim Norwid mógł już tylko napisać przyjacielowi *Nekrolog*. Jest to bodaj najcelniejszy literacki portret Chopina:

Rodem warszawianin, sercem Polak, a talentem świata
obywatel, Fryderyk Chopin zszedł z tego świata. (...) Umiał
on najtrudniejsze zadanie sztuki rozwiązywać z tajemniczą
biegłością – umiał bowiem zbierać kwiaty polne, rosy z nich
ani puchu nie otrząsając najlżejszego. I umiał je w gwiazdy,
w meteory, że nie powiem: w komety, całej świecącej
Europie, ideału sztuką przepromieniać.

Nie mam kompetencji muzykologa, więc mogę tylko powiedzieć,
że *Fortepian Chopina* – dla mnie, najpiękniejszy w ogóle wiersz
napisany kiedykolwiek po polsku – jest głębokim świadectwem
przeżywania muzyki Chopina przez Norwida. Słyszę w tym
wierszu i zaśpiewy mazurków, i posuwisty rytm poloneza, i
gniewną etiudę.

Zainteresowanych można odesłać do specjalistki – na niedawnej
Konferencji Norwidowskiej w Londynie, znakomity referat pt.
Norwidowskie wariacje muzyczne wygłosiła pani profesor Ewa
Lewandowska-Tarasiuk. W pewnym momencie w czasie wykładu,
aby zademonstrować jakiś problem podeszła do fortepianu i z
wielką biegłością zagrała utwór muzyczny, który korespondował
z Norwidowym wierszem. Było to tak przekonujące, że wszystko,
to, co mówiła, nabrało jakby dodatkowej wiarygodności.

Proszę powiedzieć co Pan dla siebie znajduje w

norwidowskiej twórczości?

W *Fortepianie Chopina* pisał Norwid o tym, co słyszał w muzyce mistrza: „I była w tym Polska, od zenitu / Wszechdoskonałości dziejów / Wzięta, tęczą zachwyty... ”. Znajduję w Norwidzie, po pierwsze, właśnie Polskę. Znajduję w nim głęboką wiarę, która zarówno wiedzie modlitwę, jak i prowadzi pióro. Znajduję w jego pisaniu – ogromny trud pisania. A zatem i wzorzec, i wskazówkę, że taki trud trzeba zawsze, nieustannie, świadomie, uparcie podejmować, gdy się pisze, gdy się pragnie coś osiągnąć. Dotyczy to każdego rodzaju sztuki; dotyczy każdej dziedziny życia. Znajduję w Norwidzie piękno, światło i prawdę. Jakże są potrzebne i pożądane w czasach, gdy dookoła tyle ciemności, brudu, zakłamania.

Na czym polega uniwersalność norwidowskiego przekazu?

Norwid świadomie dążył do uniwersalizacji, do transcendencji. Osiągał to, po pierwsze, w oparciu o swoją wiarę katolicką, a więc powszechną, a po drugie, poprzez takie kształtowanie materiału literackiego, aby odnosił czytelnika do najszerszych uogólnień.

Znał *Pismo Święte*, często do niego się odwoływał . Pisał wiersze religijne. Często wplatał refleksję religijną w wiersze, w dramaty: „Psalmy, psalmy / Modłami – / Siebie oto rozpalmy, /

Siebie, sami.” – Tak w wierszu *Jeszcze słowo*. Napisał trzy „misteria” – *Krakus*, *Wanda*, *Zwolon* – w których ofiarę bohatera baśniowego w dwóch pierwszych i współczesnego, w *Zwolonie*, porównywał do ofiary Chrystusa.



Cyprian Norwid, „Pierścień wielkiej damy”, reż. Kazimierz Braun, od lewej: Mariusz Dmochowski (Szeliga), Hanna Stankówna (Hrabina), Henryk Boukołowski (Mak-Yks), , Warszawa 1962, fot. F. Myszkowski, (w:) Kazimierz Braun, Mój teatr Norwida, Wyd. Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2014

Sytuował akcje swoich dramatów i opowiadań „w Europie”. Swoich bohaterów, owszem, zakotwiczał w czasach i miejscach, ale zarazem czynił ich uniwersalnymi typami. Wyrazistym przykładem tej metody twórczej jest Mak-Yks w *Pierścieniu Wielkiej-Damy*. Nie polskie, nieco może irlandzkie lub szkockie nazwisko Mak-Yksa (imieniem autor go nie obdarza) nie jest objaśnione, choć pyta o to wprost Szeliga w dialogu z głównym bohaterem. Rzeczywiście, owo „Mak” (pisane „Mac” w języku angielskim) sytuuje to miano gdzieś na północy lub zachodzie wysp brytyjskich. Ale Mak-Yks odpowiada Szelidze wymijająco:

- W kraju każdym są różne nazwiska, / Zwłaszcza dawne - z zatartych kart dziejów, / Zaś pochodzę ja, zaprawdę, z owych / [...] Składowych ciał - nie wytrzymujących / Parcia chemicznego Europy...

Miano Mak-Yks, użyte zamiast jakiegoś rozpoznawalnego imienia i nazwiska, wykreowuje tę postać na współczesnego „każdego” i przydaje mu cech uniwersalnych: to ma być właśnie współczesny „Każdy” (Everyman), postać wzięta ze średniowiecznego moralitetu, a zarazem, „każdy” inteligentny, wrażliwy, a przy tym biedny i prześladowany artysta. To również „każdy” człowiek niezrozumiany i niedoceniony, cichy i nie narzucający się otoczeniu, obdarzony przy tym bogatym życiem duchowym. Rozumienie miana „Mak-Yks” jako „każdego”

potwierdza trafna – moim zdaniem – intuicja George’a Gömöriego, który pisząc o *Pierścieniu* po angielsku nazywa tę postać „Mac X”. Swoista uniwersalność miana „Mak-Yks” zbliża go do „Omegitta” w *Za kulisami* – to kolejny przykład imienia „uniwersalizującego” bohatera, który, co ważniejsze, w swoich działaniach i wypowiedziach sięga do spraw i problemów o bardzo szerokiej skali.

Czy można sparafrazować norwidowskie wołanie i powiedzieć - czytanie Norwida, to „wielki zbiorowy obowiązek”?

O, tak. To jest nasz „wielki, zbiorowy obowiązek.” To dobry obowiązek. Wypełnianie go prowadzi do dobra: polskiej literatury, polskiej kultury, polskiego życia społecznego i politycznego. Czytając Norwida, medytując nad jego pismami, stajemy się bogatsi.

Czy w dobie kryzysu wartości poezja Norwida może być drogowskazem dla współczesnego człowieka?

Bardzo słusznie diagnozuje Pani obecny czas jako czas kryzysu wartości. To przecież czasy dekonstrukcji, postmodernizmu, postkolonializmu, różnych „teorii krytycznych”. W galeriach sztuki odbywają się urągające wszelkiej zdrowej estetyce „performansy”. Na scenach głośno rozbrzmiewa brukowy język.

W wielu powieściach zacierane są uznawane dotąd granice pomiędzy literaturą a pornografią. Z trybun parlamentów leją się kłamstwa. „Prasa kłamie” – tak mówiliśmy w Polsce pod rządami komunizmu, a dziś jest to zjawisko powszechne na całym świecie. W świecie współczesnym, w przestrzeni publicznej, w środkach masowego przekazu, w zarządzeniach władz natrafiamy dziś co krok na zaprzeczenie prawdy, na kłamstwo, hipokryzję, manipulację, relatywizm, a także – co równa się kłamstwu – ukrywanie prawdy, uniemożliwianie wypowiedzi. Zacieśniają się pętle cenzury, zamykane są konta internetowe, zdejmowane programy telewizyjne, i tak dalej, i tak dalej.

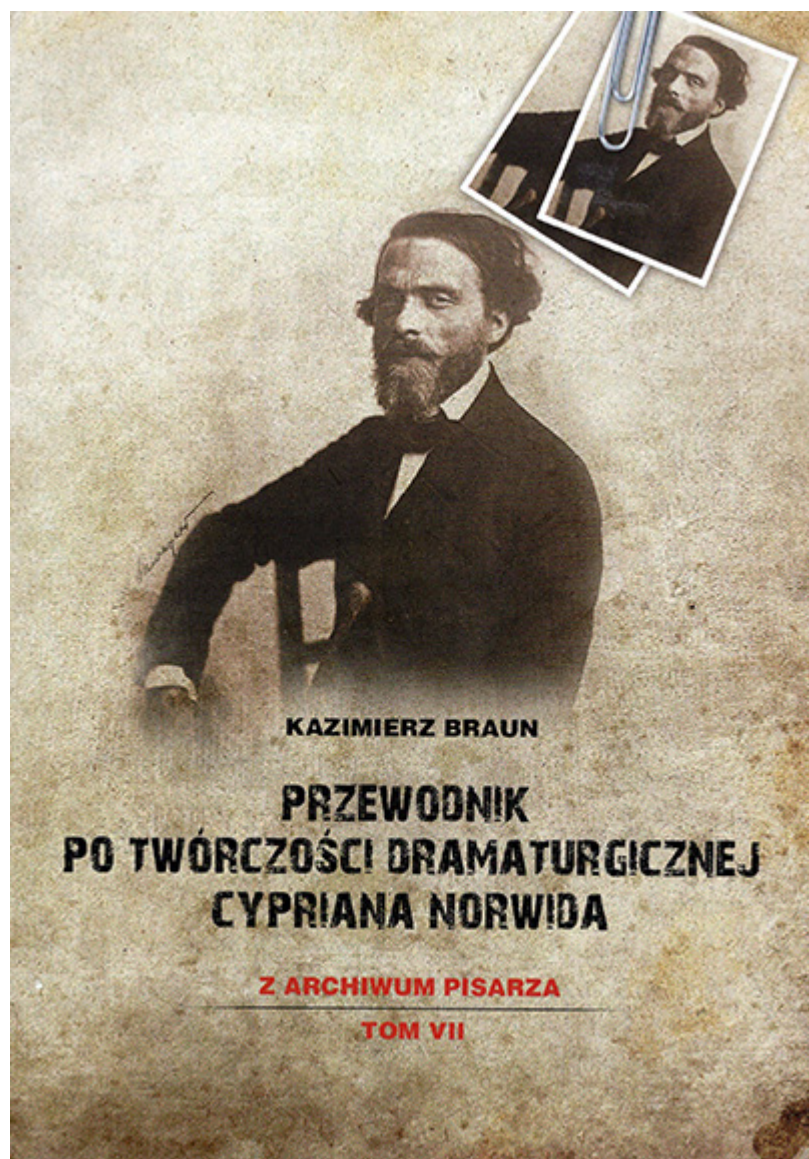


KAZIMIERZ BRAUN

MÓJ TEATR NORWIDA

Z ARCHIWUM PISARZA

TOM VI



W tym świecie czytanie Norwida to rozglądanie się za drogowskazami, to wyszukiwanie znaków wskazujących drogę, jak w czasie górskiej wspinaczki – czasem trudno je odnaleźć, bo zasłania je załom skalny, czy wybujały krzew. Ale tylko posuwanie się naprzód właściwym szlakiem zapewnia bezpieczeństwo i gwarantuje dotarcie do celu. Jaki to cel? Po prostu: godne życie wolnego człowieka.

Mówi Pani o kryzysie wartości. Z nich, bodaj najbardziej

zagrożona jest dzisiaj prawda – w życiu publicznym i w polityce; w życiu osobistym wielu ludzi, którzy cierpią na kryzys swej własnej tożsamości; nawet w badaniach naukowych, a na tym polu zarówno poprzez manipulację danymi, jak też poprzez ukrywanie danych. Prawda została bodaj w ogóle wyrugowana (poza nielicznymi enklawami), z dziennikarstwa, które nie zajmuje się już szerzeniem informacji, tylko propagandą.

A Norwid sądził, że prawda – jej rozumienie i praktykowanie – jest fundamentem godnego życia człowieka, podstawą właściwego kształtowania stosunków społecznych. Uważał on prawdę za wartość samą w sobie, ale zarazem podkreślał, że prawda, prawdomówność, jest warunkiem właściwych, uczciwych relacji między ludźmi; uznawał prawdę za spoiwo życia społecznego; nade wszystko wierzył, że prawda jest warunkiem wolności. W jednej ze scen *Za kulisami* Omegitt toczy dialog o prawdzie z gośćmi balowymi, których twarze zakryte są maskami. Tak mówi do maski zwanej „FELIETON”:

Patrzac na przedmiot, nie widzimy bynajmniej powierzchwniej, ale przez tajemnicze, a mistrzowskie poczucie-ogółu widzimy prawie że współcześnie wszystkie inne przedmioty bryłowości i przecięcia. Im zaś przedmiot widzenia zupełnie jest rozumny w swej całości, tym zupełnie obejmujemy go jednym oka rzutem ze wszech miar.

Podobnie jest, i zwłaszcza, z Prawdą! Ona, przede wszystkim będąc całą, od najpierwszej chwili, w której dała się postrzec – udzieliła się ludziom niejako w zupełności.

Maska: „DIOGENES” zapytuje szyderczo Omegitta:

A wyświstany *Tyrtej* gdyby po tysiącach lat znalazł się tu, coś oglądałby i zagaił na maskaradzie żywota?

OMEGITT odpowiada:

Mówiłby zapewne prawdę, wierząc w moc jej: czego zaiste że nie postrzegam, aby ktokolwiek czynił.

Do dialogu wtrąca się inna maska, zwana „DOMINO-SZPIEG” i pyta:

Zaś moc prawdy skąd idzie?

OMEGITT:

Pochodzi z jej Całości... a przeto stąd, że prawda jest Ideą powodującą nieustannie równe sobie świadectwo...

Norwid zdawał sobie przy tym sprawę, że „kto prawdę mówi, ten niepokój wszczyna” – a więc widział jasno że w każdym wieku i każdym miejscu prawda ma przeciwników. Jest więc dziś Norwid sojusznikiem tych, którzy „prawdę mówią.”

*

Norwid - to wielki zbiorowy obowiązek. Część 1:

Norwid – to wielki zbiorowy obowiązek. Część 1.

Wywiad ukazał się w „Pamiętniku Literackim” wydawanym przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, w numerze poświęconym Cyprianowi Kamilowi Norwidowi, Tom LXI, Londyn, czerwiec 2021 r.

*

Przypisy:

- [1] Cyprian Norwid, *Pisma wszystkie*, Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz Wiktor Gomulicki, PIW, Warszawa 1971, s. 151.
- [2] Por. Antoni Dunajski, *Teologiczne czytanie Norwida*, Wyd. Bernardinum, Pelplin 1996.
- [3] *Pisma wszystkie*, j.w. T. 1, s. 94.
- [4] *Pisma wszystkie* t. 5, s. 219. Norwid wkłada tu w usta Mak-Yksa objaśnienie jego nazwiska, którym wielokrotnie sam objaśniał swoje nazwisko, „Norwid” – mówiąc, że właśnie jego nazwisko pochodzi ze starych, „zatartych kart dziejów”.
- [5] George Gömöri, *Cyprian Norwid*, Twayne Publishers Inc., New York 1974, s. 96-99.
- [6] Por. Włodzimierz Toruń, *Norwida uwagi o prawdzie*. „Roczniki Humanistyczne” 2009, t. 57, z. 1, s. 9-19.
- [7] *Pisma Wszystkie*, t. 4, s. 530. Konrad, w *Wyzwoleniu*, mówi do Maski 17: „Artyzm [...] jest całą prawdą, jeśli jest”[7]

Uderzające jest to rozumienie prawdy jako pewnej „całości” zarówno przez Norwida, jak przez Wyspiańskiego. Stanisław Wyspiański, *Wyzwolenie*, Akt II. Konrad i Maska 17.

[8] J.w., s. 532.

[9] Tak w *Rozmowie umarłych. Pisma Wszystkie*, t. 1, s. 280.

*

Zobacz też:

Cyprian Norwid – wczoraj i dziś. Część 1.

Cyprian Norwid – wczoraj i dziś. Część 2.

Pamiętajcie o artystach...

Jadwiga Ferens (Toronto)

*Pamiętajcie o ogrodach
Przecież stamtąd przyszlście
W żar epoki użyczą wam chłodu
Tylko drzewa, tylko liście*

Jonasz Kofta



Iwona Kmiec

A w ogrodach zapach

A w ogrodach świeżość

Kolorów cud — dla duszy...

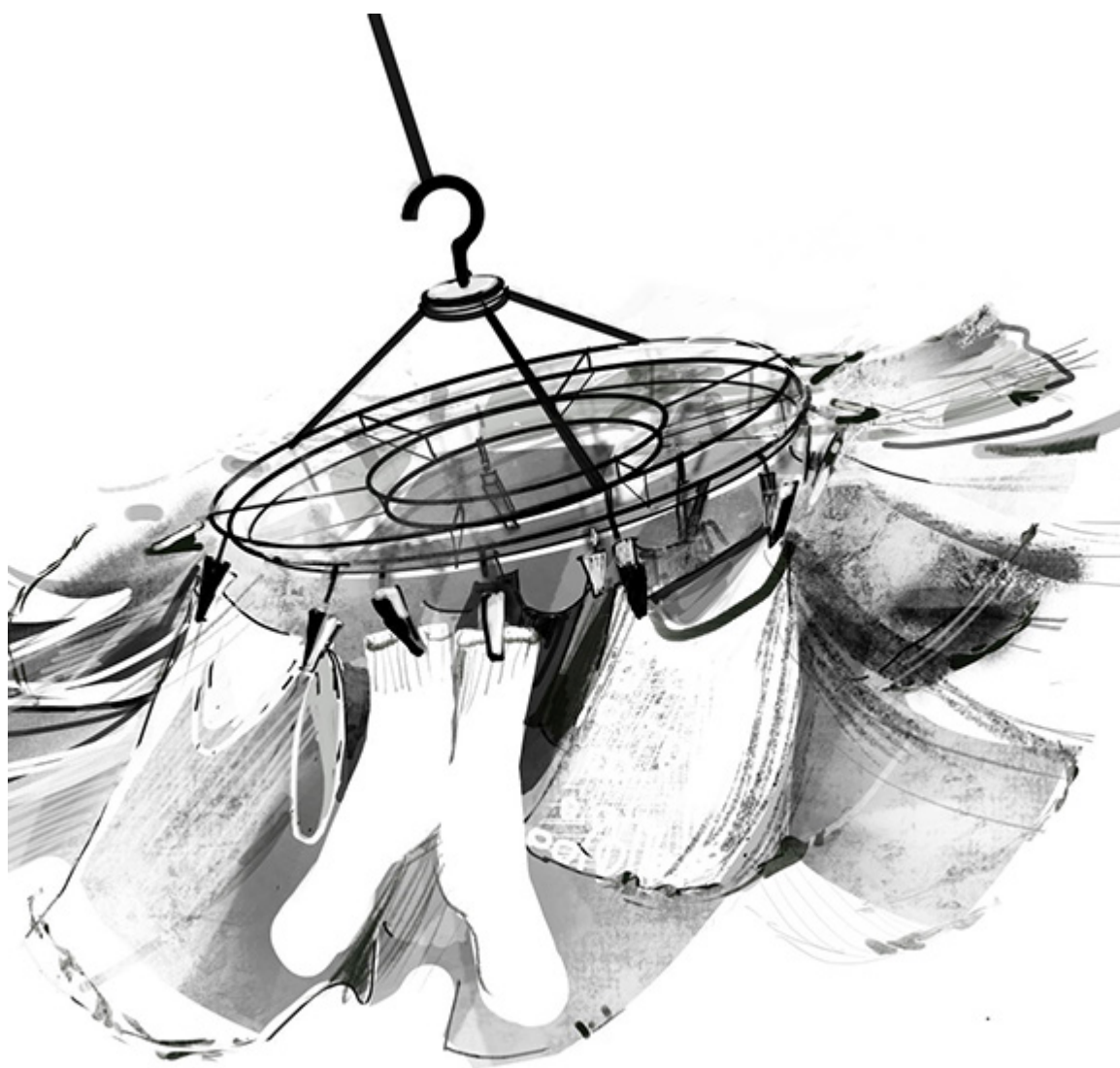
Tym nawiązaniem do poezji pragnę Państwu przedstawić artystkę malarkę, **Iwonę Kmiec**. Dlaczego ogrody, dlaczego zapachy? Na to pytanie odpowie sama Iwona, ale najpierw kilka

słów o niej. A tytuł: „Pamiętajcie o artystach...” przypomina, że na świecie działają nie tylko politycy i celebryci (tak ochoczo opisywani w mediach), lecz także artyści, inżynierowie, lekarze, czy ludzie innych pasji i zawodów, o których też warto wspominać....

Iwona Kmieć jest polsko-kanadyjską artystką wizualną mieszkającą w Thornhill, Ontario, absolwentką Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku oraz Ontario College of Art w Toronto w Kanadzie. Jest malarką, ilustratorką cyfrową, projektantką wnętrz i instruktorką, i jak pisze na swojej stronie internetowej, uczy się przez całe życie, jest bystrą obserwatką, wielbicielką sztuki, mamą trójki pięknych dzieci, jest żoną, ogrodnikiem, kucharką, miłośniczką przyrody i słońca, entuzjastką sportu, muzyki, animatorem rodzinnym.

Inspirowana naturą, używa zmysłu węchu jako metafory w swojej pracy, uważając zapach za czynnik spajający życie, przynoszący radość i przywołujący wspomnienia. 5 marca 2022 byłam na wystawie Iwony Kmieć zatytułowanej „Zapach prania” w Ruth Upjohn Gallery, w sercu Toronto, u zbiegu ulicy Bedford i St. George Subway Station. Zarówno prace, jak i sama artystka zachwyciły zwiedzających. Wysłuchaliśmy jej ciekawych opowieści o prezentowanych dziełach — o genezie ich powstania, inspirujących je wydarzeniach i przemyśleniach artystki na tematy, których wyrazem stały się właśnie wystawione prace.

Wystrój samej galerii już niezwykły, jakby zaaranżowany dla spójności z tematem „Pranie”... Niewielkie pomieszczenie, w której króluje biel, lekki muślin kołysze się nad głowami gości, na ścianach oprawione prace, a część innych — na małych wieszaczkach, zaczepiona klamerkami, jak bielizna suszona na wietrze... Skojarzenie oddechu i zapachu świeżego prania, słońca...



Iwona Kmieć, „Wesołe miasteczko” z cyklu “Zapach prania” — rysunek cyfrowy przy użyciu aplikacji Procreate

DLACZEGO „WIZUALNY ZAPACH”?

Iwona: Spróbujmy przywołać w swej pamięci zapach świeżego powietrza, morza, zapach perfum unoszący się na schodach... Emocjonalna zawartość zapachu może wydobyć piękne wspomnienia. Zapach to coś, czego nie widzimy, ale głęboko na niego reagujemy i to mnie do niego przyciąga. Chociaż sam zapach jest ulotny, jest niesamowicie silny. Nie tylko wpływa na naszą wyobraźnię, ale także dodaje nam siłę, łącząc ludzi i miejsca na osobistej osi czasu, dając radość.

Nie zapomina się o wymownym zapachu. Kiedy czujemy coś znajomego, przypominamy sobie doświadczenie chwili. Na przykład petrichor (zapach ziemi po deszczu) wspominam jako mocne i przyjemne wspomnienie wyjazdu z rodziną do Polski na Mazury. Petrichor wywołał szczęśliwe i spokojne doświadczenie, które stało się punktem odniesienia dla mojej sztuki i zainspirowało metaforę zapachową, której używam w moich twórczych poszukiwaniach.

CZY NAWIĄZANIE DO OGRODÓW JEST TRAFNE?

Iwona:

Tak, moje abstrakcyjne portrety i pejzaże nawiązują do piękna natury, by celebrować życie i uchwycić szczęśliwe emocje. Jak butelkowanie drogocennego zapachu, pragnę przekładać wspomnienia ludzi i miejsc na namacalne przedmioty, które wywołują radość i reprezentują fizyczną obecność chwil, które

będą trwać wiecznie.



Iwona Kmiec, „Petrichor-01” z cyklu “Petrichor (zapach ziemi po deszczu) — akryl na płótnie, technika mieszana

Prezentowane prace artystki nawiązują też do snów. Na przykład — kawałki staromodnych poszewek na poduszki, w kolażach z obszywającą je koronką, zaciągnięte białą farbą – snują opowieści o pracach minionych pokoleń, o zajęciach związanych z ogrodem babci na Białorusi, gdzie wszystko świetnie rosło, o obowiązkach gospodarskich...

Historie rodzinne, wydarzenia bliskie i dalekie, zjawiska bajkowe, nawet komentarze polityczne – o tym wszystkim opowiadają prace artystki. Bo na przykład, kiedy mowa o praniu, Iwona Kmieć nie zapomina o przedstawieniu prania pieniędzy, czy prania mózgu, komentując ciekawą metaforą, świetnie ujętą graficznie, ludzi bez skrupułów, zaangażowanych w te ciemne strony życia i manipulacje. Tak więc — „filozofia” prania w szerokim wachlarzu przeróżnych spraw i problemów.

Na stronie internetowej **Iwony Kmieć**, można zapoznać się z pracami artystki oraz nabyć upatrzone dzieło. 20% ze sprzedaży przeznaczone będzie na pomoc ukraińskim dzieciom.

Artykuł ukazał się w „Gońcu” w Toronto, 4 kwietnia 2022 r.

Fryzjerka 2 – druga

część powieści

Danuty Błaszak



Zbigniew Mirosławski (Tarnów)

Przedemną leży druga część *Fryzjerki*, współczesnej powieści o

łosach Joli, pasjonatki paralotniarstwa, pilotażu, skoków spadochronowych, dbającej o rozwój wewnętrzny (ukazywał to wątek przezwyciężenia toksycznej więzi z matką i starszym, żonatym partnerem w części pierwszej). Autorką jest Danuta Błaszak, działaczka polonijna z Florydy, dziennikarka, edytorka, poetka i tłumaczka. Powieść została starannie wydana, z widoczną dbałością o szatę graficzną powierzoną ponownie Agnieszce Herman. Obecny tytuł *Fryzjerka 2, Miodem płyną rzeki* zapowiada ciąg dalszy i obiecuje pomyślną historię, wręcz dobrostan.

Specyfiką prozy Danuty Błaszak jest wplatanie do narracji nazwisk współczesnych pisarzy (w poprzednim wydaniu Anny Marii Mickiewicz, Agnieszki Jarzębowskiej i... samej współpracującej z nią poetki i autorki projektu okładki tej książki Agnieszki Herman, nominowanej w czasie w którym toczy się akcja, do nagrody Orfeusza).

Obecnie lista pisarzy wydłużyła się. Częścią powieści jest wielogłos, cytaty i opinie innych. Wpływ ma na to osobowość pisarki i jej doświadczenia wydawnicze, autorki edytorki antologii tematycznych.

Nazwiska pisarzy, których utwory są cytowane, zebrane są na ostatniej stronie książki, niemal jak indeks do książki naukowej.

Znajdziemy tutaj także oprócz wyżej wymienionych: Aleksandrę Ziółkowską-Boehm, promotorkę polskiej literatury i Halinę Birenbaum w krótkich ciepłych wspomnieniach o kotach.

Festiwal poezji u Ryszarda Grajka, Alicja Kuberska, Iza Zubko... Przyroda w Kieleckiem jest jak w wierszach Grażyny Tatarskiej. Do spraw fryzjerskich odważnie dołącza Leszek Szymański, założyciel ruchu literackiego „Współczesność”, z opowieścią o wszawicy w powojennej Warszawie. Przywołanych literatów jest więcej, bo odwołania dotyczą m. in.: Homera (wątku Odyseusza i nimfy Kalipso), Ewy Szelburg-Zarembiny, Marka Twain’a czy Melchiora Wańkowicza.

Kontynuacja posiada wszystkie walory części pierwszej, trudno nie przypomnieć, bo być może nie wszyscy znają tę pozycję. Zatem podkreślić wypada zarysowanie wyraźnych charakterów. Lektura powieści może uskrzydlać i dawać nadzieję iż niekorzystne „układy” się zmieniają. Trzeba być aktywnym. Liczy się determinacja, pasja przynosząca radość i wytchnienie od codzienności. Nowe spojrzenie na samą siebie, uwalnia energię. Uznawana za rywalkę Ligia zostanie przyjaciółką.

Jola, bohaterka części drugiej, jest już po swoim weselu. Organizuje nowe miejsce zamieszkania. Czas powieści zaczyna się 18 kwietnia 2020 roku. Ona i Jakub, co w naszych polskich warunkach jest dość niezwykle, mają prywatny, choć służący do

pracy w firmie, helikopter EC 135 i samolot Cessna 182. Planem akcji są: wieś w Kieleckiem, potem fikcyjne podwarszawskie osiedle „gdzie miodem płyną rzeki” i warszawskie cmentarze: Bródno i Wawrzyszew.

Powieść ma ambicję łamania stereotypów. Jola z zawodu fryzjerka według jej nauczycielki powinna zdawać na studia na Politechnice. Daje sobie radę udzielając korepetycji z fizyki synom szwagierki. Jest zaradna i wie czego chce. Wartkie dialogi: Joli z Wandą, z Ligią Molską i jej mężem Pawłem, zręcznie posuwają akcję do przodu. Niewątpliwie są ważnym walorem tej historii.

Incydentalnie pojawia się były partner Joli, Romuald. Jest włamywaczem, bo chce wydobyć z jej starego mieszkania swoje rzeczy. Pojawienie się informacji o cioci Kwiecie ma zachęcić do sięgania po część pierwszą przez tych, którzy jej nie znają. Obecne są także inne odniesienia do wcześniejszych wydarzeń. Są też opisane: perypetie covidowe, szczegóły dotyczące opieki nad małymi kotkami, przyjęcie do domu psa ze schroniska. Wątkiem niespodziewanie prowadzącym do zaskakującego rozwiązania jest postać Rafała Kopliszki. Wiąże się z nim sprawa oszczerstwa zarzucającego pooperacyjne komplikacje i śmierć pacjenta Ligii. Nie będę ujawniać tutaj zakończenia książki.

Przypomniana została tragedia niemieckiego pilota Andreasa

Lubitza, który będąc w depresji celowo rozbił się samolotem w Alpach szwajcarskich w 2015 r.

Nie sposób relacjonować chronologicznie rozwijających się kwestii, opisywać toku akcji. Ich poznanie to zadanie stojące przed każdym czytelnikiem. Podobnie ocena lektury. Nie zamierzam jej formułować, bo to sprawa indywidualnych preferencji. Zresztą napisałem powyżej dosyć sporo argumentów za książką, o której piszę.

Na pewno powieść zaskakuje. Kiedy wydaje się, że wszystko pomyślnie się układa, że czekają nas jedynie: kolejne rozmowy, wizyty, podróże, wszystko zmienia się za sprawą wykładu, jaki ma poprowadzić Ligia na uczelni medycznej. Wszystko jest przygotowane, projektor, głośniki, połączenia internetowe, pełna obsługa security...

Danuta Błaszak na pewno jeszcze nie raz sięgnie po klawiaturę komputera (dzisiaj nie pisze się już piórem) i opowie nam następne koleje losu Joli? A może o innych bohaterach.

*

Danuta Błaszak, Fryzjerka 2 – Miodem płyną rzeki,
NORBERTINUM, Lublin 2022, s. 200



Zobacz też:

„Fryzjerka” Danuty Błaszak

„Fryzjerka. Na pokuszenie losu” – fragment książki

Agnieszka Herman – wiersze z tomiku „Tło”

Norwid – to wielki zbiorowy obowiązek. Część 1.



Prof. Kazimierz Braun, fot. arch. K. Brauna

Z prof. Kazimierzem Braunem - dramaturgiem, reżyserem, wykładowcą akademickim, znawcą Norwida - rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Joanna Sokołowska-Gwizdka (Austin, Teksas):

Rok 2021 był rokiem Cypriana Kamila Norwida. Poeta wiele lat spędził za granicą, głównie w Paryżu. Ojciec pana babci - Konstanty Miller przyjaźnił się z poetą, gdy mieszkał w Paryżu. Czy zachowały się listy, dedykacje, przekazy rodzinne, lub inne ślady po Norwidzie w Pana zbiorach rodzinnych?

Kazimierz Braun (Buffalo, Nowy Jork):

Przyjaźń mego pradziadka, Konstantego Millera (1816-1886) z Cyprianem Kamilem Norwidem należała do rodzinnej legendy, którą poznałem już w najmłodszym dzieciństwie. Jest jeden konkretny dowód rzeczowy, że się spotykali, że obaj brali udział w dyskusjach literackich, niewątpliwie i politycznych - to ten fragment *Promethidiona*, w którym Norwid niejako cytuje jednego z uczestników takiej dyskusji, używając jego imienia „Konstanty”. Cała pierwsza część tego poematu „Dialog, w którym jest rzecz o sztuce i stanowisku sztuki”, zatytułowany *Bogumił*, to właśnie rozmowa o sztuce, a najpierw o Chopinie. W

rozmowie tej wypowiada się najpierw autor (Norwid), potem „Bogumił”, a polemizuje z nim „Konstanty”. Ta rozmowa mogła się odbyć w Paryżu w 1849 r. i stała się inspiracją dla *Promethidiona* napisanego w 1851 r. Rodzinna pamięć przechowała, że ci dwaj – Cyprian Kamil Norwid i Konstanty Miller – tam się wtedy spotkali. Nie ma na ten temat żadnych szczegółów. Nie zachowały się też żadne pamiątki.

Pradziadek Konstanty miał bujne życie. Urodzony na Podolu, jako student uniwersytetu w Dorpacie związał się z polską konspiracją niepodległościową. Gdy na jej trop wpadła policja carska, uciekł z Rosji i, przez Londyn, zawędrował aż do Ameryki. Był nad Niagarą, co jest udokumentowane w jego listach. Ile razy tam jestem, a mieszkam blisko wodospadu, przypominam sobie pradziadka. Był pianistą – wirtuozem, uczył też tańca. Z tego się utrzymywał w Ameryce. Wrócił jednak do Europy. Poszedł na studia medyczne w Belgii, które ukończył w 1857 r. Po amnestii carskiej powrócił do kraju. Był wziętym chirurgiem oraz położnikiem. Ożenił się z Seweryną Żulińską, miał z nią pięcioro dzieci, z których najmłodsza była moja babka, Henryka. O Konstantym Millerze obszernie pisze moja córka, dr Monika Braun, w wydanej w tamtym roku obszernej książce historycznej o naszym rodzie pt. *Migrena, kronika rodzinna*.

Czy zatem do Norwida zaprowadziła pana tradycja rodzinna?

Tradycja rodzinna była dla mnie pierwszym impulsem. Na imieniny babci, która mieszkała z nami w czasie wojny i po niej, jako podarunek, recytowałem zawsze wiersz Norwida, przypominając w ten sposób jej ojca. Ten wiersz wybierała mi moja matka, Elżbieta, z domu Szymanowska, która w naszej wojennej szkole domowej uczyła języka i literatury polskiej. Znała ona dobrze twórczość Norwida. Od niej słyszałem o nim po raz pierwszy.

Pisał Pan pracę magisterską u prof. Zygmunta Szweykowskiego z teatru Norwida. Potem reżyserował Pan wielokrotnie jego sztuki. Co urzekło Pana w norwidowskim teatrze?

W czasach najstraszniejszego, totalitarnego, stalinowskiego komunizmu Norwid był w szkołach, czy też w programach uniwersyteckich nieobecny. Wrócił w ramach – częściowego – poluzowania systemu, które doprowadziło do „Października” 1956 r. Tak się złożyło, że na jesieni 1956 r. rozpoczynałem trzeci rok polonistyki na Uniwersytecie Poznańskim. Była pora wybrać seminarium magisterskie, aby w ciągu tego roku akademickiego napisać pracę magisterską i obronić ją na wiosnę 1958 r. I akurat wtedy profesor Zygmunt Szweykowski, wielki uczonek, znawca Sienkiewicza, ale i całej polskiej literatury romantycznej XIX w., ogłosił seminarium magisterskie poświęcone Norwidowi. Gdy się o tym dowiedziałem –

natychmiast się zgłosiłem. Otwarcie seminarium

Norwidowskiego było jakby otwarciem okna w celi, w której byliśmy więzieni. To był podmuch wolności. Przeczytałem – po raz pierwszy – wszystkie dzieła Norwida, dostępne dzięki znaleziskom i wydaniom Zenona Przesmyckiego-Miriama. Skoncentrowałem się na dramacie.

Do dramatu, a w konsekwencji do teatru, prowadziła mnie także inna rodzinna legenda. Moja ciotka, Jadwiga Braun-Domańska, była przed wojną wziętą aktorką, a w czasie wojny, po wyjściu z sowieckiego łagru, dotarła do armii gen. Andersa i została żołnierzem – już uprzednio w kraju była zaprzysiężona w ZWZ. Gen. Anders mianował ją dyrektorem Teatru 2 Korpusu (rozkazem z 2 kwietnia 1943 r.). Postawiła ten teatr na wysokim, zawodowym poziomie, przeszła z nim, towarzysząc wojsku, przez Irak, Palestynę, Włochy, aż do Londynu. Tam została, odmawiając powrotu do kraju pod rządami komunistów. O ciotce Domańskiej dochodziły w czasie wojny i po wojnie tylko strzępy wieści, była kimś tajemniczym i wielkim. Stała się dla całej rodziny postacią legendarną.

Były więc te dwa szlaki, które doprowadziły mnie do zajęcia się dramatem Norwida – pamięć pradziadka Konstantego Millera i pamięć o ciotce Jadwidze Domańskiej.

Wczytywanie się w Norwida w czasie pisanja pracy magisterskiej

przerodziło się w fascynację. Przechodziłem wtedy „dziecięcą chorobę” wielu polonistów – pisałem wiersze. Poezja Norwida stała się dla mnie ważną inspiracją. A jego dramaty, m.in. dlatego, że, poza *Pierścieniem Wielkiej-Damy*, dotarły do „późnych wnuków” uszkodzone i do tej pory bardzo rzadko wystawiane, stanowiły wyzwanie. W tamtym czasie teatr polski wydobywał się z bagna „realizmu socjalistycznego”. Wracali na sceny wielcy poeci romantyczni i neo-romantyk Wyspiański. Post-romantyk Norwid ofiarowywał materiał również niezwykle, bodaj nawet bardziej skomplikowany: kunsztowne łączenie realizmu z poezją, uruchamianie mechanizmu przemieniania tego co zwykłe i codzienne w to, co poetyckie i uniwersalne. Już wtedy zapragnąłem Norwida reżyserować. Stąd, także w oparciu o moje doświadczenia z teatru studenckiego, narodziła się myśl studiowania reżyserii.

Poruszam tę sprawę dlatego, że gdy postanowiłem zdawać na Wydział Reżyserii w PWST w Warszawie w 1958 r., to dowiedziałem się, że warunkiem dopuszczenia do egzaminu wstępnego jest złożenie – no, i przyjęcie – „pracy wstępnej” w postaci projektu inscenizacji jakiegoś dramatu. Wybrałem *Za kulisami* Norwida, sztukę, która zachowała się w ruinie. Trzeba było dokonać jej adaptacji.



Hanna Stankówna (Hrabina) i Alicja Pawlicka (Magdalena),
„Pierścień wielkiej damy”, Warszawa 1962, fot. F. Myszkowski,
(w:) Kazimierz Braun, Mój teatr Norwida, Wyd. Uniwersytetu
Rzeszowskiego, Rzeszów 2014



Czyli w moim życiorysie było tak: praca magisterska – Norwid, praca wstępna na reżyserię – Norwid. I dodam, aby poprowadzić dalej ten wątek: praca dyplomowa na zakończenie reżyserii – Norwid; był to *Pierścień Wielkiej-Damy* Norwida (Teatr Polski, Warszawa 1962). A ponieważ to przedstawienie bardzo się udało już wtedy wytyczyłem sobie program wyreżyserowania wszystkich pełnospektaklowych sztuk Norwida, i to zarówno na scenach, jak na ekranie telewizyjnym. Mój doktorat na Uniwersytecie Poznańskim (1971) był także oparty o Norwida – o

książkę *Cypriana Norwida teatr bez teatru*.

Czy dramaty Norwida są trudne do realizacji scenicznej?

Są bardzo trudne... We Wstępie do *Pierścienia Wielkiej-Damy* używa Norwid terminu „smętne trudności” – tak, to są smętne trudności, bo, jak już wspomniałem poza tą jedną sztuką inne jego pełnospektaklowe dramaty dotarły do nas uszkodzone. Trzeba się domyślać, rekonstruować, adaptować – aby powstawały możliwe do zagrania, spójne całości. To podstawowa trudność. Trzeba się z nią zmierzyć przed próbami. A w czasie prób wielką trudnością jest odnalezienie „stylu Norwidowskiego”. Jest on bardzo specjalnym stopem, o czym wiem po tylu już latach pracy nad dramatami Norwida. Składa się na ten styl budowanie postaci przez aktorów, tak, aby były oparte o prawdę przeżycia i działania, a zarazem w pewien sposób wystylizowane; ogromnie ważne jest przy tym podawanie Norwidowego wiersza, lub poetyckiej prozy, którą posłużył się *Zakulisami*. Norwid umiejętnie i subtelnie łączy delikatną kreską rysowaną psychologię postaci z filozoficzną refleksją dotyczącą problemów ogólnych i spraw ostatecznych. Także wyważenie realizmu i umowności w scenografii do jego sztuk to „arcytrudna robota” – jak on sam kiedyś o swoim pisaniu powiedział.

W 1966 roku zrealizował Pan spektakl Teatru Telewizji „Zakulisami” Norwida, a w 1970 roku wyreżyserował Pan tę

sztukę w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie z Marią Nowotarską i Leszkiem Herdegenem. Jak Pan wspomina te dwie realizacje?

Już wspomniałem, że z *Za kulisami* zmierzyłem się po raz pierwszy przygotowując pracę wstępną na reżyserię.

Pracowałem nadal nad tą sztuką, pragnąłem ją wyreżyserować. To piękny, głęboki, wręcz wstrząsający dramat. Już miałem za sobą realizacje *Pierścienia Wielkiej-Damy* (Teatr Polski, Warszawa 1962 i przeniesienie do Teatru Telewizji 1962) i *Aktora* (Teatr Telewizji 1963 i Teatr im. J. Osterwy w Lublinie 1965). W roku 1966 Teatr Telewizji przyjął moją propozycję *Za kulisami*. Skompletowałem znakomitą obsadę. Do głównej roli, Omegitta, zaprosiłem Tadeusza Radwana z Teatru im. W. Horzycy w Toruniu. Radwan był czołowym aktorem tej sceny noszącej już wtedy imię Horzycy, który dał na niej prapremierę *Za kulisami* w 1946 r. Więc z mojej strony, zaproszenie aktora z teatru imienia Horzycy to był także ukłon wobec zmarłego inscenizatora. Główną rolę kobiecą w części współczesnej dramatu (współczesnej dla autora), Lii, podjęła wielka gwiazda, Aleksandra Śląska. Główne role w części starożytnej grali natomiast młodzi, dynamiczni, utalentowani – Tadeusz Borowski (Tyrtej) i Maria Głowacka (Eginea). W obsadzie byli i inni doskonali aktorzy: Danuta Nagórna, Kazimierz Meres, Henryk Szletyński, Mieczysław Voit.



TVP/ EAST NEWS Teatr Telewizji, Cyprian Norwid *ZA KULISAMI*, 10.10.1966, reż. Kazimierz Braun Na zdjęciu Aleksandra Śląska (Lia), J-4062- 8

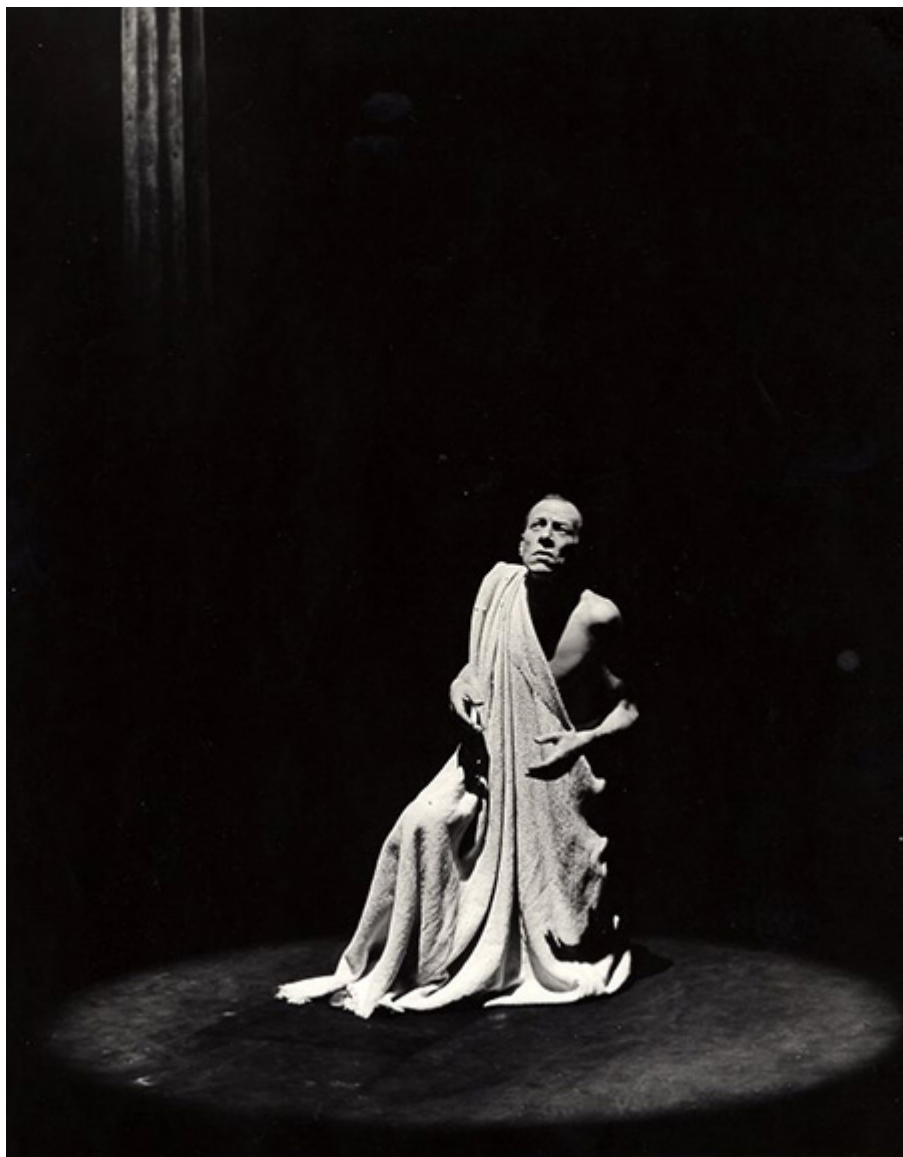
W tamtym czasie przedstawienia Teatru Telewizji grane były na żywo. To było wielkie wyzwanie, bo *Za kulisami* wymaga kilku odmiennych planów, a akcja musi się płynnie przenosić z jednego planu na kolejny, tak, aby miała ciągłość. Skonstruowaliśmy ze znakomitą scenografką Xymeną Zaniewską skomplikowaną dekorację, dookoła i wewnątrz której kamery mogły bezkolizyjnie przesuwać się pomiędzy poszczególnymi planami. Zespół

aktorski pracował pięknie. Wytworzyło się wielkie napięcie. Premiera – znów przypominam, grana „na żywo” – została zagrana bezbłędnie. Śląska stworzyła kreację. Reakcje prasowe i środowiskowe były bardzo przychylne.

Pracowałem nad Norwidem nadal. W Lublinie wyreżyserowałem *Kleopatę i Cezara* w mojej adaptacji (1968, przeniesienie do Teatru Telewizji 1968). W oparciu o to wszystko, co już wiedziałem o Norwidzie napisałem scenariusz biograficzny o nim, zatytułowany *Piszę pamiętnik artysty*. Został przyjęty przez Teatr Telewizji w 1970 r. Trzeba o tym opowiedzieć, bowiem to widowisko niejako doprowadziło mnie do następnej wielkiej pracy – *Za kulisami* na scenie teatralnej.

Warszawski Teatr Telewizji korzystał ze wszystkich aktorów stołecznych, ale w wyjątkowych wypadkach umożliwiał także zapraszanie aktorów z innych scen. Skorzystałem z tego już raz zapraszając Stanisława Radwana z Torunia. Myśląc o obsadzie postaci Norwida w moim scenariuszu rozglądałem się po całym kraju. Uświadomiłem sobie, że jest aktor, który sam jest poetą i myślicielem, jak Norwid. Jest to aktor znakomity i umiętny, a przy tym, jakoś mi ogromnie przyjazny, znaliśmy się blisko. To Leszek Herdegen. Czołowy aktor Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie. Posłałem mu scenariusz z propozycją zagrania roli Norwida. Przyjął. Teatr Telewizji zaangażował go. Współpraca na próbach układała nam się doskonale. Rozumieliśmy się.

I właśnie wtedy, w bufecie telewizji na Woronicza, zaczęliśmy rozmawiać o zainteresowaniu dyrektora Teatru Słowackiego, Bronisława Dąbrowskiego spektaklem *Za kulisami*, w którym Herdegen – wedle mojego pomysłu i interpretacji – zagra podwójną, główną rolę Omegitta – Tyrteusza. To było moje nowe interpretacyjne odkrycie: w *Za kulisami* Norwid niejako ustawił lustra: Omegitt stając przed lustrem widzi Tyrteusza. Lia, dama XIX salonów widzi w lustrze Egeję, grecką kapłankę. I *vice versa*. Podobnie i inne postaci planu współczesnego sztuki (powtarzam – współczesnego dla autora) i planu starożytnego są swoimi lustrzanymi odbiciami. Odbicia to czasem wyraźne, czasem zamglone, ale scalają one, obok innych zabiegów zastosowanych przez autora cały – dwuczęściowy – dramat.



Cyprian Norwid, ZA KULISAMI, Teatr im. J. Słowackiego, Kraków 1970, reż. Kazimierz Braun. Na zdjęciu Leszek Herdegen (Omegitt), fot. Wojciech Plewiński

Omegitt to pisarz, myśliciel, podróżnik. Postać ta zresztą jest w dużej mierze autoportretem Norwida. Omegitt napisał dramat o starożytnym (gdzieś z VII w. przed Chrystusem) poecie Tyrteuszu. I wystawił ten dramat, zapewne w Teatrze Wielkim w Warszawie w 1864 r., aby wstrząsnąć sumieniami sobie współczesnych, dla nich grana jest sztuka Omegitta, pt. *Tyrtej*. Oto klasyczna struktura „teatru w teatrze”, którą Norwid

wystudiował u Szekspira. Dziewiętnastowieczna publiczność ogląda akcję starożytną. Oto Tyrteusz powołany do tego zadania przez wyrocznię udaje się z Aten do Sparty, aby zostać jej wodzem. Zostaje jednak odrzucony przez Spartan – społeczeństwo zmaterializowane i zmilitaryzowane, które pozbyło się wartości duchowych. Podobny los spotyka Omegitta. Jego sztuka zostaje wygwizdana.

Dyrektor Dąbrowski obejrzał *Piszę pamiętnik artysty* w telewizji. To przekonało go do Norwida i do mnie. Przyjął moją propozycję reżyserii i, oczywiście, obsadzenia Herdegena w głównej roli. Już razem z Leszkiem naradzaliśmy się jak obsadzić pozostałe role. Do głównej, wielkiej roli kobiecej, także podwójnej – Lia, współczesna autorowi dama i Egeinea, kapłanka zakochana w Tyteuszu – zaprosiliśmy Marię Nowotarską. Był to doskonały wybór – zagrała obie role posługując się różnorodnymi środkami wyrazowymi. Zbudowało to mocny fundament, na który po latach oparliśmy się pracując wspólnie w „Teatrze Nowotarskiej” w Toronto w Kanadzie, w którym zrealizowaliśmy kilka moich sztuk.

Trafnym wyborem było także powierzenie roli, również podwójnej, współczesnej Emmy i atenki Dorilli, Marii Przybylskiej, aktorce, ale także poetce, która głęboko rozumiała Norwida. Cała obsada pracowała z wielkim zainteresowaniem nowym materiałem, z ogromnym oddaniem i energią. W

monologach, zarówno Omegitta, jak Tyrteusza, w dialogach planu współczesnego i planu starożytnego, Herdegen tworzył postać poety i mędrca, a zarazem gwałtownika, który dąży do obudzenia i odrodzenia otaczających go społeczności.

Po inscenizacjach Horzycy (Toruń 1946, Warszawa 1959) było to dopiero trzecie przedstawienie *Za kulisami* – wielka inscenizacja na wielkiej scenie. Liczny, pełen energii i umiejętny zespół aktorski. Wyraziście podane słowo. Ekspresyjne obrazy sceniczne. Mieliśmy wszyscy poczucie, że oddaliśmy dobrą przysługę Norwidowi.



Cyprian Norwid, *ZA KULISAMI*, Teatr im. J. Słowackiego, Kraków, 1970 reż. Kazimierz Braun.

Na pierwszym planie Maria Nowotarska – Lia (z lewej) i Maria Przybylska Emma, fot. Wojciech Plewiński

Proszę opowiedzieć o swojej dalszej drodze z Norwidem.

Premierą *Za kulisami* w Teatrze im. J. Słowackiego wypełniłem swój plan – wyreżyserowania wszystkich pełnospektaklowych sztuk Norwida, i to zarówno na scenach, jak i w telewizji. W tym czasie, w latach 1970, 1971, dokonywał się przełom w mojej

pracy reżysera, w moim myśleniu o teatrze. Mogę powiedzieć, że Norwid niejako doprowadził mnie do Różewicza. Norwid w swoich dramatach tworzył teatr poetycki, zakotwiczony w realizmie. Różewicz także pisał dramaty poetyckie, mocno osadzone w realnym życiu. Widzenie rzeczywistości i przetwarzanie jej w poezję, zarówno przez Norwida, jak przez Różewicza, było podobne. Oczywiście, były też ogromne różnice. W sztukach Norwida materia jest europejska kultura drugiej połowy XIX w., a także świat starożytny w *Tyrteju*, w *Kleopatrze*. Dramaty Różewicza wyrastają z jego doświadczenia wojennego i życia w kraju „realnego socjalizmu” – to *Kartoteka*; badają europejską kulturę II połowy XX w. – *Stara kobieta wysiaduje*, *Przyrost naturalny*. Nawet gdy Różewicz ucieka w niedawną przeszłość – w *Białym małżeństwie*, w *Pułapce*, w *Odejściu głodomora* – to pisze o świecie sobie współczesnym. A przy tym, w swych sztukach odważnie eksperymentuje z formą dramaturgiczną – zwłaszcza w *Akcie przerywanym* i *Przyroście naturalnym*.

Jeszcze przed krakowską premierą *Za kulisami* w Krakowie, zrealizowałem w Lublinie *Akt przerywany* – pierwszy krok ku mojemu „Teatrowi Wspólnoty”. W tym samym czasie pisałem książkę *Teatr Wspólnoty*. Potem, w ciągu lat, wyreżyserowałem wszystkie wymienione przed chwilą sztuki Różewicza, dodając do nich, już w Ameryce *Kartotekę rozrzuconą*.

Pracowałem jednak nadal nad Norwidem. Wróciłem do *Kleopatry i Cezara* – całkiem inaczej niż poprzednio. Wystawiłem tę tragedię z zespołem Teatru Współczesnego we Wrocławiu sali Muzeum Architektury we Wrocławiu, w kostiumach współczesnych (1975). Wróciłem do *Pierścienia Wielkiej-Damy* realizując go jako przedstawienie dyplomowe w PWST Wrocław (1983), niejako na trzy sposoby: akt pierwszy został nagrany w studio telewizyjnym i publiczność zgromadzona w obszernym holu szkoły teatralnej oglądała go na ekranie telewizora. Akt II grany był w jednej z sal szkoły urządzonej stylowymi meblami jako salon Hrabiny Harrys, z widzami na kanapach i w fotelach. Akt III, usytuowany był w ogrodzie otaczającym dużą willę, w której miała wtedy siedzibę wrocławska PWST oraz na schodach prowadzących z ogrodu do wnętrza. Do listy moich przedstawień Norwidowskich dodałem jeszcze *Miłość czystą u kąpieli morskich*. Najpierw opracowałem ją dla Polskiego Radia (1975, a potem), zrealizowaną w plenerze, acz nie nad morzem (telewizja nie miała na to środków), to nad wielkim jeziorem, (1979). Napisałem i wyreżyserowałem nowy scenariusz biograficzny Norwida, zatytułowany *Powrót Norwida*, który został wystawiony w Teatrze Nie Teraz w Tarnowie, przy współpracy adaptacyjnej i reżyserskiej Tomasza Żaka w 2016 r.

Wykładałem o Norwidzie ucząc historii dramatu we Wrocławiu, potem w Ameryce. Mówiłem o nim na konferencjach. Publikowałem o nim po polsku, po angielsku, po francusku.

Gdy zaświtała w perspektywie 200-letnia rocznica jego urodzin zintensyfikowałem te prace. Napisałem kolejną książkę o Norwidzie: *Przewodnik po twórczości dramaturgicznej Cypriana Norwida*. Omawiam w niej wszystkie utwory dramatyczne Norwida – sztuki pełnospektaklowe, misteria, jednoaktówki, miniatury dramaturgiczne oraz sztuki zachowane tylko we fragmentach. Książka zawiera pełną listę realizacji Norwidowskich, poczynając od pierwszej prapremiery, a był to *Krakus* w Teatrze Miejskim w Krakowie w 1908 r. poprzez pamiętne prapremiery *Kleopatry* we Lwowie w inscenizacji Wilama Horzycy (1933), *Pierścienia Wielkiej-Damy* w Warszawie w reżyserii Juliusza Osterwy (1936), *Za kulisami* w opracowaniu i inscenizacji Horzycy w Toruniu (1946); poprzez Norwidowskie montaże poezji i dramatów Mieczysława Kotlarczyka w tajnym Teatrze Rapsodycznym w czasie wojny i po wojnie; aż do fali przedstawień Norwida w latach 1960. i 1970. Potem Norwida już – prawie – nie grano. W sumie, było tych realizacji Norwidowskich niewiele.

Przygotowałem następną książkę Norwidowską: opracowanie literackie i teatralne *Za kulisami*. Jak wiadomo sztuka ta zachowała się w znacznym stopniu uszkodzona, a przy tym sporny jest sposób, w jaki autor pragnął połączyć jej dwa człony – współczesny i starożytny. Moje opracowanie wykorzystuje wszystkie zachowane fragmenty tekstu i układa je w spójną całość, łącząc owe dwa człony konstrukcją „teatru w teatrze”,

którą Norwid poznał studiując Szekspira, zachwycił się nią, wykorzystywał ją kilka razy oraz – jak udowadniam we wstępie do mego opracowania – zastosował tworząc *Za kulisami*. Pragnę, aby w ten sposób *Za kulisami* stało się normalną sztuką „do grania”, a nie tylko łamigłówką interesującą norwidologów. Pisałem w tym roku o Norwidzie po polsku i po angielsku. Miałem o nim publiczne wykłady internetowe – w Instytucie Oskara Haleckiego w Ottawie i na Konferencji Norwidowskiej w Londynie. Staram się Norwidowi służyć jak tylko potrafię...

Druga część rozmowy z prof. Kazimierzem Braunem o Cyprianie Kamilu Norwidzie:

Norwid – to wielki zbiorowy obowiązek. Część 2.

Przypisy:

[1] Wydawnictwo Austeria, Kraków, Budapeszt, Syrakuzy, 2021. O Konstantym Millerze jest dobre hasło w Wikipedii.

[2] Kazimierz Braun, *Cypriana Norwida teatr bez teatru*, PIW, Warszawa 1971.

[3] Pełna lista moich 14 widowisk Norwidowskich znajduje się w książce: Kazimierz Braun, *Mój teatr Norwida*, (Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, 2014, s. 208). Później doszła do nich jeszcze pozycja piętnasta: mój dramat pt. *Powrót Norwida* (Teatr Nie Teraz, Tarnów 2016).

[4] Kazimierz Braun, *Teatr Wspólnoty*, Wyd. Literackie, Kraków 1972.

[5] Wykaz moich 19 Różewiczowskich premier znajduje się w: Kazimierz Braun, *Mój teatr Różewicza*, Wyd. Uniwersytetu Rzeszowskiego 2013, s. 196, 197.

[6] Tadeusz Różewicz, *Kartoteka rozrzucona*, przekład Kazimierz Braun, prapremiera amerykańska, Buffalo 2006.

[7] Można je odnaleźć w: *Horyzonty teatru III. Bibliografia Kazimierza Brauna*, opracowała Barbara Bułat, Wyd. A. Marszałek, Toruń 2014.

[8] Kazimierz Braun, *Przewodnik po twórczości dramaturgicznej Cypriana Norwida*, Wyd. Uniwersytetu Rzeszowskiego 2020.

*

Zobacz też:

Teatr w służbie narodu. Jadwiga Domańska (1907-1996).

„Za kulisami” Norwida w inscenizacji Kazimierza Brauna